NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom [illegible]).

Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 7 stycznia 1922. Nr. 1.

Niemiecka moralność



Spalenie czterdziestu tysięcy egzemplarzy „sensacyjnych" romansów na błoniu Tempelhofskiem pod Berlinem w obecności przedstawicieli władz szkolnych i związków młodzieży.

OD WYDAWNICTWA.

Z końcem roku 1921 skończył się także i *ośmnasty* rok naszego wydawnictwa. Rok ten był dla nas nad wyraz ciężki, cięższy może nawet i od czasów, gdy w naszem bezpośredniem sąsiedztwie szalała burza wojenna. Fatalne stosunki ekonomiczne i obniżenie wartości marki polskiej sprowadziły szaloną drożyznę, przedewszystkiem zaś artykułów, które nabywać się musi za granicą, gdyż nasz przemysł ich nie dostarcza. Do nich należą wszelkiego rodzaju utensilia, potrzebne przy wydawaniu pisma tego rodzaju, jak *Nowości Illustrowane*. Papier, farba drukarska, chemikalia i td. drożały prawie z dnia na dzień, należało się uważać szczęśliwym, jeśli udało się je nabyć na wagę złota u dostawców, regulujących ceny wedle swego widzimisię. Wynagrodzenia i płace personalu rosły też w miarę drożyzny, co razem z poprzedniem wziąwszy, spowodować musiało kilkakrotne podwyższenie cen za nasze pismo. Postępowaliśmy w tym kierunku bardzo oględnie, decydując się na zwyżkę prenumeraty w ostatecznej chwili, gdy nie było już innego wyjścia. Jako pismo bezpartyjne, nie posiadające jakichkolwiek subwencyi, ponadto pozbawieni prawie w zupełności ogłoszeń, uważanych w obecnych czasach przez naszych Kupców i Przemysłowców za „niepotrzebny wydatek", zmuszeni byliśmy wzmagające się coraz bardziej wydatki pokrywać podnoszeniem cen abonamentu, w stosunku do innych wydawnictw bardzo umiarkowanem.

Trudności mnożyły się z dniem każdym, nie zapominaliśmy jednak nigdy o tem, że celem naszym, któremu wierni jesteśmy lat ośmnaście i pozostaniemy takimiż, dałby Bóg, jak najdłużej, jest służenie ogólnemu dobru przez dawanie Czytelnikom pożytecznej i przyjemnej lektury, illustrującej w krótkości najaktualniejsze wydarzenia bieżącej chwili. Zadaniu temu, jak nam się wydaje, odpowiedzieliśmy godnie, a jeśli tu i ówdzie napotykało się na jakoweś usterki, były one wynikiem obecnych nienormalnych stosunków, a nie naszej winy.

Obok materyału aktualnego był przedmiotem naszej troski i będzie nim i nadal odpowiedni dobór utworów literatury pięknej, zatem powieści, tak oryginalnych, jak tłómaczonych. Z pośród naszych staramy się przedewszystkiem popierać talenty młode, rokujące na przyszłość piękne nadzieje, co niewątpliwie poczytanem nam być powinno również za zasługę. Ułatwiając im wejście w świat, dajemy ogółowi Czytających sposobność zapoznania się z nimi, a nie należy zapominać, że i najjaśniejsze gwiazdy słabym początkowo tylko żarzyły się płomykiem.

W ciężkiej naszej pracy wydawniczej, w takich warunkach, jak obecne, otuchy i zachęty dodawało nam zawsze uznanie ze strony naszych P. T. Czytelników, z jakiem spotykaliśmy się na każdym kroku, a na które, przyznać się musimy szczerze, uczciwie i rzetelnie staraliśmy się zasłużyć.

Oto nasze sprawozdanie z działalności za rok ośmnasty naszego wydawnictwa, a zarazem program na następne lata.

Wydawnictwo „Nowości Illustrowanych".

Nasza premia.

P. T. nowi Abonenci naszego pisma, o ile zaprenumerują je w **Centralnej Administracyi „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego L. 95.**, otrzymają bezpłatnie, jako premię:

1. kwartalni, ozdobnie oprawny Kalendarzyk kieszonkowy na rok 1922,

2. półroczni i caloroczni nadto i Kalendarz tygodniowy biurkowy na rok 1922.

Prenumerata „*Nowości Illustrowanych*" wynosi:

Kwartalnie . . 988 Mk.
Półrocznie . . 1976 „
Rocznie . . . . 3952 „

Na poleconą przesyłkę kalendarzy należy dołączyć **25 Mkp.**



Pomnik Kościuszki na Wawelu: Pomnik Kościuszki na rotundzie Władysława IV. na północnych stokach Wawelu.

Niemiecka moralność.

(Do illustracyi tytułowej).

W grudniu ubiegłego roku odbył się na błoniu Tempelhofskiem pod Berlinem dziwny i niezwykły akt całopalenia, przypominający bardzo średniowieczne czasy.

Oto na błoniu rozpalono olbrzymi stos drzewa, a następnie wrzucono w jego płomienie czterdzieści tysięcy tomów rozmaitych romansów brukowych, zaliczanych do tak zwanej *Schundlitteratur*, cieszącej się taką popularnością wśród niższych sfer społeczeństwa, szczególniej zaś między kucharkami i służącemi, skąd dostają się w niepowołane ręce młodzieży, szerząc wśród niej zgorszenie i zamiłowanie do fantastycznych przygód, co pociąga za sobą różne, ubolewania godne wybryki niedorostków, pragnących odegrać rolę bohaterów. W akcie tym wzięli udział przedstawiciele szkolnictwa i związków młodzieży, a prasa niemiecka, wspominając o fakcie, wyraża swe, uzasadnione zresztą uznanie, dla władz, które tak czuwają nad krzewieniem moralności.

Podzielamy najzupełniej zdanie publicystów niemieckich, wydaje się nam jednak, że jest to kadzidło, spalone na własną cześć, nie tyle dla słuszności samej sprawy, ile dla zrobienia reklamy „niemieckiej moralności" wobec świata. Gdyby bowiem jedną miarę chciano stosować do wszystkich publikacyi, ogłaszanych drukiem w języku niemieckim, należałoby podobne stosy, jak ów na Tempelhofskiem błoniu pod Berlinem, rozpalać codziennie we wszystkich większych niemieckich miastach, by zniszczyć wszystkie te piśmidła, które dla interesu niemieckiego podają zmyślone lub przekręcone na swój sposób fakty z życia codziennego i historyi. Los ten powinien spotkać tak niektóre organy prasy codziennej i peryodycznej, jak dzieła mniejszych i większych „uczonych", ziohące nienawiścią ku wszystkiemu, co nie jest niemieckie. Tutaj znaleźć się powinna także większa część podręczników szkolnych, wpajających w młodzież podziw dla kultury niemieckiej, a w najczarniejszych kolorach przedstawiających tych, którzy uważani są za niebezpiecznych dla idei pangermańskiej. Wtedy dopiero możnaby powiedzieć, że Niemcy są naprawdę „państwem bojaźni Bożej i dobrych obyczajów".

Dopóki się to nie stanie, chwalby o pieczy władz niemieckich nad szerzeniem moralności wśród ludu, rozejść się muszą rychło bez śladu, jak ów dym ze stosu całopalnego na błoniu w Tempelhofie.



Pomnik Kościuszki na Wawelu: Pomnik Kościuszki widziany od strony Wisły.

Pomnik Kościuszki na Wawelu.

Dzięki inicyatywie kierownika Odbudowy Wawelu, prof. A. Szyszki-Bohusza, pomnik Tadeusza Kościuszki, raczej jego górna część, to jest statua konna, dłuta prof. Marconiego, uwolniony został od „internowania" na podwórzu koszar krakowskiej Straży ogniowej, gdzie go więziono od lat szeregu. Na razie ustawiono go na barbakanie Władysława IV., na północnych stokach wzgórza wawelskiego, u stóp wieży zegarowej.

Jest to jak zaznaczyliśmy wyraźnie, pomieszczenie tylko prowizoryczne, które miało przekonać naszych estetyków i archeologów, że miejsce to jest dla pomnika zupełnie odpowiednie, i że nie traci na tem nic ani jego wartość artystyczna, ani też powaga otoczenia. I w samej rzeczy pomnik Kościuszki w tem miejscu nie przedstawia się bynaj mniej źle, nie jest zatem wykluczone, że pozostanie tam na stałe, aby ulżyć kłopotu członkom Komitetu budowy, którzy tak długo nie mogli zdecydować się, gdzie ma stanąć, a gdy nareszcie zgodzili się na Rynek, przekonali się z boleścią, że kasa świeci pustkami, a pozostało w niej zaledwie tyle, ile wystarczyło na wykopanie dziury na Rynku i założenie kamienia węgielnego pod pomnik, który gdyby nie prof. Szyszko-Bohusz, z pewnością długie jeszcze lata spędzić musiałby w swem więzieniu.

Kraków nie ma szczęścia do pomników. Przekonaliśmy się o tem z okazyi budowy pomnika Mickiewicza, którego dzieje stanowią do dziś niewyczerpany temat dla humorysty, zupełnie to samo powtórzyło się z pomnikiem Kościuszki, nie mówiąc już o pomniku śp. profesora Jordana, którego zasługi obywatelskie miano w ten sposób uczcić godnie, ale piękna myśl ta pozostaje dotąd w sferze projektów i prawdopodobnie nigdy nie doczeka się realizacyi. Słyszeliśmy od ojców naszych, że przed laty zaczęto zbierać składki celem wystawienia na Kazimierzu pomnika dla króla Kazimierza Wielkiego, ale i ta sprawa jakoś ucichła, podobnie jak projekt uczczenia pomnikiem przez mieszczaństwo krakowskie zasług Kilińskiego.

Najszczęśliwszym stosunkowo był król Władysław Jagiełło, ale tylko dzięki temu, że pomnik jego ufundował i własnym kosztem postawił Ignacy Paderewski niedowierzając widocznie Krakowowi i bojąc się, że nawet otrzymawszy dar, gotów go umieścić w takiem miejscu, dokąd oko ludzkie nie sięga i tam kazać mu czekać lepszych czasów i powzięcia światłej decyzyi przez różne komisye artystyczne, na które Duch Święty jakoś w żaden sposób zstąpić nie raczy, a nie zawsze znajdzie się jakiś Szyszko-Bohusz, który zdecyduje się na rozcięcie węzła gordyjskiego, by ulżyć trosk członkom Komitetu, myślącym o wszystkiem innem, tylko nie o pomniku.



Święto żołnierza polskiego: Jeneralicya, korpus oficerski i goście podczas defilady 19 pułku piechoty „Odsieczy Lwowy" w trzecią rocznicę jego chrztu bojowego. Fot. M. Münz Lwów.

Powrót polskiego majątku z Rosyi

Na podstawie umowy, zawartej w Rydze, zobowiązał się rząd sowiecki do zwrócenia Polsce zagrabionych w różnych okresach zabytków, dzieł sztuki, bibliotek i archiwów oraz urządzeń fabrycznych, które azyatyckiej kulturze carskiej Rosyi miały wobec świata nadać pozory europejskości. Wywożono je też z Polski całemi masami, przez nieumiejętne obchodzenie się zniszczało ich ogromnie wiele, przepadło także przeszedłszy w obce ręce wiele cennych przedmiotów, zwłaszcza z pośród tych, które dostały się w prywatne ręce różnych carskich jenerałów i wysokich czynowników. Stosunkowo najlepiej jeszcze wyszły zbiory, będące w posiadaniu rządu carskiego, choć i tym brak znajomości obchodzenia się z podobnemi przedmiotami dał się porządnie we znaki. Przynajmniej nie rozkradziono ich, gdyż jeden dygnitarz patrzył na palce drugiemu, co utrudniało w wysokim stopniu przywłaszczanie sobie cudzej własności.

Część zabytków tak muzealnych, jak i archiwalnych, których rewindykacyą zajmuje się specyalna komisya wysłana do Rosyi z ramienia rządu polskiego, wróciła już do kraju, dalsze transporty mają nastąpić w najkrótszym czasie.

Według oświadczenia przewodniczącego rosyjsko-ukraińskiej mięszanej komisyi reewakuacyjnej, Wojkowa, w następnym transporcie polskich zabytków i dzieł sztuki, które znajdowały się w „Oružejnnoj Pałatie" w Moskwie i są obecnie wysyłane do Polski, wymienić należy sztandary polskie, godło królewskie, słynną szkatułę konstytucyi królestwa polskiego z 1815, koronę królewską, łańcuch z orderem Białego Orła, 63 portrety królów polskich i innych osobistości historycznych, szereg obrazów, w liczbie których dzieło Bacciarelli, restaurowane przez rosyjskiego malarza Radionowa.

Przyjęte już zostały przez polską komisyę antykwarną: kolekcya Krasnowskiego, a także słynne gobeliny z XVI wieku z krakowskiego Wawelu.

Jednocześnie komisya reewakuacyjna postanowiła zwrócić Polsce 15 fabryk, z których jedna zostanie wysłana do Warszawy w najbliższych dniach. Czynione są przygotowania do wypłaty drugiej raty w złocie.

W najbliższym czasie ma się rozpocząć w Homlu rozbieranie słynnego pomnika ks. Józefa Poniatowskiego, dłuta Thorwaldsena, zdobiącego park rezydencyi Paszkiewiczów, potomków rosyjskiego feldmarszałka, zdobywcy Warszawy. Pomnik ten zamówiony u duńskiego mistrza przez rząd polski, przedstawia ks. Józefa na koniu, a przeznaczony był dla Warszawy. Zmiana stosunków politycznych po powstaniu w r. 1831. wpłynęła na to, że rząd rosyjski na ustawienie pomnika nie zezwolił, car Mikołaj darował go swemu wiernemu słudze Paszkiewiczowi, a ten wywiózł go do swych posiadłości w Homlu. Obecnie pomnik wróci do Polski i stanie się jedną z ozdób Warszawy.



Powrót polskiego majątku z Rosyi: Model gipsowy pomnika ks Józefa Poniatowskiego, dzieło Thorwaldsena zdobiącego dotąd ogród ks. Paszkiewiczów w Homlu, obecnie zwrócony Polsce.

Swięto żołnierza polskiego.

Stacyonowany we Lwowie na Cytadeli 19 pułk piechoty „Odsieczy Lwowa", obchodził w dniu 28 grudnia ubiegłego roku trzecią rocznicę swego chrztu bojowego.

W uroczystości tej wzięły udział tak sfery woj-



Święto żołnierza polskiego: 19 pułk piechoty stacyonowany we Lwowie ze swym sztanderem podczas defilady w dzień swojego święta. Fot. M. Münz, Lwów.

skowe Lwowa, jak też i przedstawiciele cywilnej ludności naszej kresowej stolicy, mającej temu właśnie pułkowi bardzo wiele do zawdzięczenia. Historya jego, krótka wprawdzie, ale obfita w prawdziwie bohaterskie czyny, tak pułku, jako całości, jakoteż i poszczególnych jego członków, wiąże się ściśle z przeżyciami Lwowa trzech lat ostatnich.



Cech ślusarski we Lwowie: Członkowie cechu z Orłem polskim, ofiarowanym miastu rodzinnemu.

Uroczystość rozpoczęło ranne nabożeństwo w kościele Katedralnym, zakończyła po południu Akademia w sali Sokoła-Macierzy.

Po odegraniu hymnu narodowego przez orkiestrę wojskową i odczytaniu rozkazu okolicznościowego Dowódcy O. K. jen. Jędrzejewskiego, przemówił ten ostatni wznosząc okrzyk na cześć 19 p. p., dowódcy pułk. Dąbrowskiego i kpt. Zongołłowicza, jednego z trzech oficerów, który towarzysząc pułkowi od chwili powstania dotrwali przy nim przez wszystkie trudy bojowe do chwili obecnej. Z kolei przedstawił kpt Zongołłowicz w lapidarnych, żołnierskich słowach historyę pułku. Jak to powołany rozkazem Naczelnika Państwa, wyruszył jako pierwszy baon odsieczy Lwowa z Warszawy przez Przemyśl do oblężonego miasta. Tu oddawano mu w obronę odcinki naitrudniejsze i zadanie najbardziej odpowiedzialne. I nie zawiódł pokładanych nadziei. Wszędzie, gdziekolwiek go postawiono, wytrwał do końca. Pierwszy w pościgu, w ofenzywnem przełamywaniu nieprzyjacielskiego frontu, ostatni w odwrocie, który zwykle osłaniał, obficie krwawiąc po drodze.

Dalszym etapem dziejów bohaterskiego pułku, illustrowanych mnogimi rozkazami pochwalnymi dowódców jednostek bojowych, w skład których wchodził, jest wojna z bolszewikami. Wojna ta była sposobnością do ugruntowania i unieśmiertelnienia chwały, zdobytej w walkach z Ukraińcami. Pomnikiem męstwa i ofiarności był dzień, w którym batalion 19 p. p., stawiając zdeterminowany opór bolszewickiej czerni, otoczony zewsząd i walcząc do ostatka, zginął w całości na polu walki.

Swój odczyt zakończył kpt. Zongołłowicz ślubowaniem, że jak dotąd, tak i zawsze stać będzie pułk przedmurzem Lwowa i Wschodniej Małopolski.

W następnej koncertowej części Akademii odśpiewała p. Zacharska aryę z „Halki“, a p. Prawdzic aryę ze „Strasznego Dworu“. Duże wrażenie wywarło wyjęte z „Cyda“ opowiadanie o bitwie, odtworzone po mistrzowsku przez p. Barwińskiego. Lżejszą muzę reprezentowała p. Rapacka swemi przemiłemi „Pieśniami lirycznemi“. Wreszcie oddeklamował z przejęciem kilkunastoletni obrońca Lwowa i wychowanek 19 p. p., Paszek, wiersz „Żołnierz-dziecko“. Zakończyła orkiestra wojskowa uwerturą z „Oberona“ i „Rotą“.

Całość była zasłużonym hołdem, oddanym tym, którym w wielkiej mierze zawdzięcza Lwów swe istnienie jako miasto Rzeczypospolitej. Była również tchnieniem otuchy, że przy takich obrońcach nie należy się lękać żadnej przyszłości.

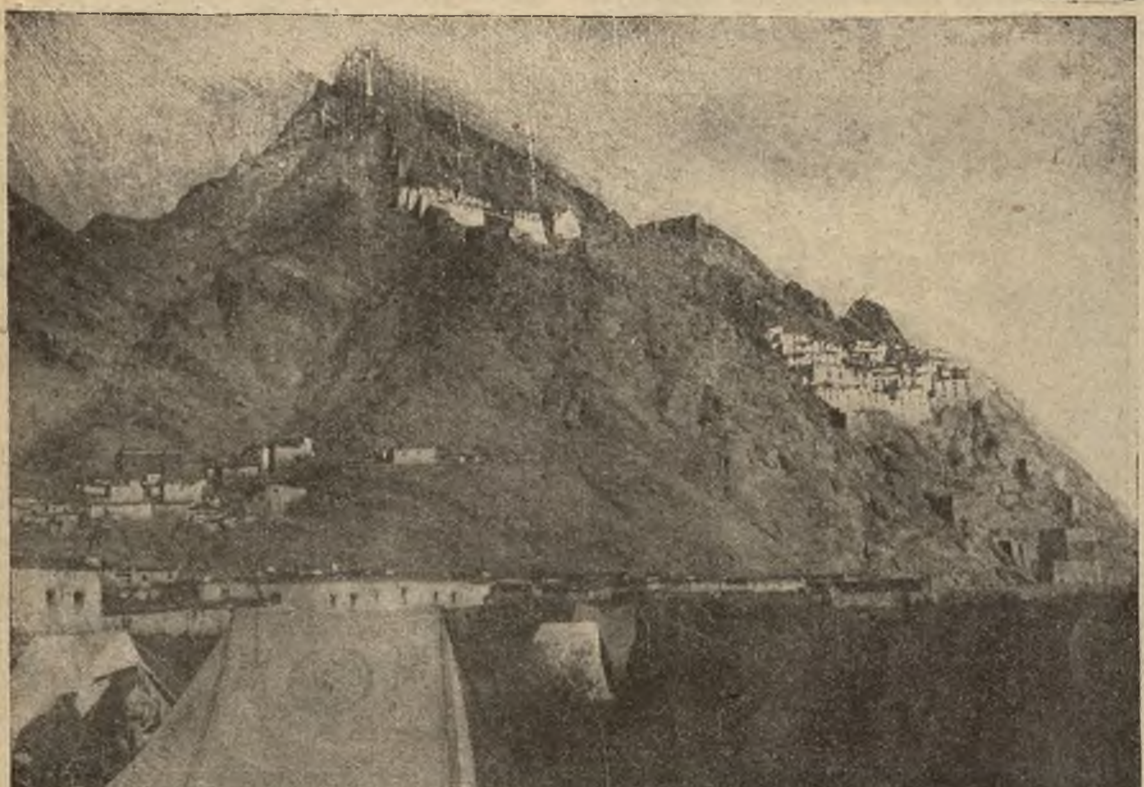
Cech ślusarski we Lwowie.

Instytucya cechów rzemieślniczych, przeszczepianych na grunt polski z krajów sąsiednich, przeważnie zaś z Niemiec, jednocząc w sobie poszczególne działy przemysłu i rękodzieła, stała się potężną dźwignią ich rozkwitu, a zarazem także i dobrobytu ówczesnego mieszczaństwa. Każdy cech tworzył dla siebie odrębną całość, ściśle zamkniętą, składającą się z majstrów, czeladników i uczniów, ze starszyzną swą na czele. Cechy, obdarzone licznemi przywilejami, w życiu miast naszych odegrały bardzo ważną rolę, panujący nie szczędzili im dowodów swej łaski, ale też niejednokrotnie musieli występować bardzo seryo celem ukrócenia zbyt daleko posuniętej samowoli. Organizacya cechów w owym czasie miała prócz zawodowego także pewien charakter i militarny, poszczególne korporacye miały poruczony sobie obowiązek obrony pewnych części murów miejskich, wprawy w robieniu bronią nabywano w Bractwach Strzeleckich, utrzymywano własne składy amunicyi i td. Ten stan rzeczy przyczynił się nadzwyczajnie do podniesienia powagi mieszczaństwa, które w obronie swych słusznych praw mogło bardzo łatwo uciec się do broni i wszelki zadany sobie gwałt odeprzeć gwałtem. Liczono się zatem z mieszczaństwem i zabiegano poważnie o jego względy, co nie było tak łatwem, jeśli się zważy, iż składało się ono w bardzo znacznej części z ludzi obcych nam pochodzeniem, zwyczajami i mową.

Za byłych rządów austryackich instytucya cechów rzemieślniczych pozostała dalej, straciła jednak większą część swego pierwotnego znaczenia, gdy nowymi przepisami unormowano wykonywanie danego przemysłu lub rękodzieła, uzależniając je od zezwolenia wydanego przez władze państwowe, nie zaś, jak dotąd bywało przez cechy. Stare tradycye cechowe utrzymały się jednak częściowo, niektóre z pomiędzy cechów zaś i dziś jeszcze w życiu poszczególnych miast odgrywają bardzo ważną rolę, choć członkom ich, w miarę wzrostu przemysłu fabrycznego przychodzi do walczenia z coraz to większemi trudnościami.



Ratyfikacya układu anglo-irlandzkiego: Grupa deputowanych irlandzkich. Siedzą w pierwszym rzędzie od lewej do prawej: L. Ginnell, Michael Collins, C. Brugha Griffith, E de Valera, hr. Plunkett, E. Mac Neill, E Blythe.



Na śladzie ludzi pierwotnych: Obóz ekspedycyi naukowej angielskiej, mającej za zadanie dotarcie na szczyt Gaurizankaru, w Campa Dzon.

RENE BURES.

Zil=X...

Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

7)

— Urwała się?

— Tak. Lata po całym ogrodzie. Ale ja jej zaraz dam radę.

— Nie dotykaj jej! Zóstaw ją! — krzyknął Jerzy Dambleuse. — Jeżeli chce biegać zostaw ją w spokoju.

— Dobrze! dobrze! — mruknął służący. — Gdybym był wiedział nie byłbym wstawał wcale!

W dwie minuty później Jerzy Dambleuse ukazał się w ogrodzie. Noc była tak ciemna, że mogłem mieć pewność, iż nie zostanę odkryty. Z trudnością też dostrzegłem sylwetkę młodego człowieka, zbliżającego się do konia, który spokojnie dał mu się pochwycić i zaprowadzić do stajni.

— Jest ziana potem! — zauważył raz jeszcze służący.

— Eh! trochę zaedwie spocona! Cóż ją mogło tak wystraszyć.. Ale... zdawało mi się, że drzwi od stajni były zamknięte!

— Oh! proszę pana — odparł służący. — Ona taka jest przebiegła jak kobieta. Ale co jej jest naprawdę? Wygląda tak, jakgdyby przebiegła ze trzydzieści kilometrów!

— Ależ nie! co znowu! — syknął niecierpliwie Jerzy Dambleuse. — Przestraszyła się czegoś, oto wszystko. — Idź spać — dodał jeszcze wchodząc do stajni. — Wiesz, że musisz być gotowy o godzinie drugiej, a jest już po północy.

— Niech pan będzie spokojny! Obudzę sie na czas — odpowiedział służący.

Po chwili obydwaj wrócili do pawilonu i znowu cisza zalega wokoło.

Dalton pociągnął mnie na drogę.

— Przechadzajmy się — rzekł. — Pomimo wszystko, zdaje mi się, że uczciwi ludzie mają chyba prawo spacerować choćby po północy, po publicznej drodze. Zresztą zimno mi, a wcale niemam ochoty doczekać się kataru.

Przyspieszyliśmy kroku. Byłem tak zaciekawiony, że nie mogłem się powstrzymać od pytania.

— Coś ty zrobił temu koniowi, że galopował jak szalony po ogrodzie?

— Ukłułem go lekko. To jest rasowa klacz. Ma skłonność do popłoszenia.

— Ale w jakim celu to uczyniłeś?

— Trzeba było, aby ją służący widział zgrzaną i zapienioną. Nietylko my powinniśmy wiedzieć prawdę. Jest więc koniecznem, aby i inni potwierdzić nasze twierdzenia mogli. Zabezpieczyłem się więc tylko. Jeżeli przypadkiem sędzia uczyni śledztwo, dowie się łatwo od służącego, że koń jego pana zdawał się być zmęczonym, jak po odbytej dalekiej drodze.

W tej chwili usłyszeliśmy w oddali gwizd lokomotywy.

— To jest ostatni pociąg — jęknął Dalton. — Miałem nadzieję, że zdążymy dopaść go jeszcze i powrócimy do Paryża Ale już zapisanem było, że dzisiejszą noc nie spędzimy w naszych łóżkach. Słyszałeś, jak Dambleuse zapowiadał swojemu służącemu, aby był gotów na godzine drugą?

— Słyszałem.

— Będzie to pewną pociechą dla nas, że i on spać nie będzie. No, niema co! Musimy wracać do naszego krzaka.

Ostatnie słowa Daltona, przypomniały mi nagle włóczęgę, któregośmy związali parę minut przedtem.

— A włóczęga? — zapytałem.

— Oh! jestem spokojny, został tam, gdzie był. Moje węzły są zawsze silnie zaciśnięte. Może nawet należałoby uwolnić je trochę. Mamy półtorej godziny czasu przed sobą. Będziemy mieć małą rozrwkę.

Powróciliśmy więc do krzaka. Włóczęga leżał skrępowany na ziemi tak, jak to przewidział Dalton. Podczas naszej nieobecności musiał czynić nadludzkie wysiłki, aby się uwolnić, bo piersi jego pod rozwartą koszulą były całe mokre od potu.

— Mój przyjacielu — rzekł do niego Dalton, po zaświeceniu lampki elektrycznej — jesteśmy gotowi zwrócić ci wolność, ale musisz nam przedtem powiedzieć dlaczego pragnąłeś tak bardzo wejść do domu, który znajduje się naciwko nas? Zdejmę ci więc ten woreczek, który ci utrudnia mowę, a potem słuchać cię będziemy z całą uwagą.

Zgasił lampkę, zdjął worek z głowy uwięzionego, poczem rzekł:

— Teraz mów.

Ale włóczęga milczał.

— Źle robisz upierając się w milczeniu, bardzo szkodliwem dla twojej sprawy. Daję ci pięć minut do namysłu i do przekonania cię, że jesteś zmuszony mówić. Potem zaś, jeżeli dalej opierać się będziesz, będę zmuszony włożyć ci znowu ten woreczek, który tak chętnie zdjąłem ci teraz. I pamiętaj, nie będę odpowiedzialny za to, co się stanie później.

Włóczęga zdawał się być niewzruszonym tem przemówieniem. Pięć minut upłynęło nie wywoławszy u niego żadnej zmiany.

— Czy będziesz mówił! — zawołał Dalton podniecony jego uporem.

Włóczęga milczał dalej.

— Dobrze! jestem zmuszony uciec się do ostatecznych środków. Mówiąc to Dalton wyjął rewolwer z kieszeni i przyłożył go do skroni człowieka.

Ale w tej chwili tenże odezwał się lakonicznie.

— Niechże pan nie żartuje panie Dalton.

Dalton szybko zapalił lampkę i przysunął ją do twarzy mówiącego.

— Markas! — zaklął gniewnie.

— Tak, to ja. Niechże mnie pan rozwiąże.

— Oczywiście. Ale dlaczego nie odezwałeś się wcześniej?

— Dobry pan sobie jest. Mówić, kiedy się ma pana woreczek na głowie. Zresztą nie wiedziałem wiedy, że to pan.

— Ale kiedy się dowiedziałeś, kiedy ci woreczek zdjąłem, kiedy poznałeś mój głos, mogłeś dać się poznać zaraz!

— Mój Boże, panie Dalton — odpowiedział Markas — każden człowiek ma trochę miłości własnej. Chciałem się przekonać czy mnie pan pozna pod przebraniem. No, niech pan powie? Udało mi się dosyć, prawda?

— Dalton udał, że uznaje to wyjaśnienie za dostateczne i rozważając ręce i nogi ajenta uśmiechnął się ironicznie.

— Bardzo ci się udało, mój przyjacielu, bardzo. Szczególniej spodnie są wspaniałe.

Rzeczywiście spodnie przygodnego włóczęgi o ile obejrzeć je mogliśmy przy świetle lampki elektrycznej, były prawdziwem arcydziełem. Niewiem jakim sposobem można je było pokryć tą warstwą brudu i błota! A dziury, łaty, plamy i cery były cudowną mozaiką, któraby podziw wzbudziła w najwybredniejszym amatorze starożytności.

Kiedy Dalton rozwiązał ostatnie sznury, Markas usiłował powstać, ale zachwiał się na nogach i opadł ciężko na ziemię.

— Ścisnął mnie pan zanadto, panie Dalton. Całe ciało mam zdrętwiałe.

— To nic nie szkodzi — odparł spokojnie mój przyjaciel. — Nie potrzebujesz nóg twoich na razie. Masz cygaro, zapal i pomówimy trochę. Markas wziął cygaro, zapalił i wyciągnął się wygodnie.

— Słucham. Co pan chce wiedzieć?

— Po coś ty się chciał dostać do Jerzego Dambleuse?

— Pan wie dobrze. Szedłem tam po to, co i pan...

— To jest?

— Wypuścić konia i obudzić służącego. Tak panie Dalton, słyszałem prawie wszystko; chociaż byłem związany mogłem się czołgać. Co prawda nie jest to bardzo wygodnie, ale można się przyzwyczaić przy wprawie.

Dalton milczał, zamyślony głęboko.

— Panie Dalton! — zapytał Markas — czy może mi pan powiedzieć. która godzina?

— Pierwsza.

— A więc będę zmuszony opuścić pana, o ile nogi moje dalej ponieść mnie będą chciały.

Wstał z trudem, stękając i klnąc wdarł się na wzgórek ciągnący się wzdłuż drogi. Dostawszy się tam szerokim giestem uchylił kapelusza i zawołał donośnie:

— Do widzenia panowie! Życzę powodzenia.

— Zdaje mi się, że nie powinienem go rozwiązywać — rzekł Dalton po odejściu ajenta. — Jeżeli wszystko słyszał tak, jak to utrzymuje, to dziwnem wydaje mi się dlaczego nie pozostaje tutaj, aby śledzić Jerzego Dambleuse, wybierającego się jeszcze o godzinie drugiej w nocy. Może, że się mylę, ale zdaje mi się, że za dziesięć minut będę wiedział o rzeczy bardzo ważnej.

— Czas jakiś czekaliśmy ukryci za krzakiem.

— Dziesięć minut już pewnie upłynęło — szepnął Dalton.

Nie domówił jeszcze tych słów, kiedy z oddali doleciał nas tentent koni.

— Uciekajmy stąd — szepnął głucho Dalton zrywając się. — Uciekajmy prędko! inaczej zostaniemy pochwyceni.

Skoczył na drogę, pobiegłem za nim. Biegliśmy co sił wzdłuż muru otaczającego pawilon.

Nareszcie dopadliśmy jakiejś kamienistej, wznoszącej się bystrej ścieżki. Dalton bez namysłu zaczął drapać się pod górę, ja za nim, staczając za sobą kamienie, które z głuchym łoskotem spadały w dół.

Nakoniec Dalton zatrzymał się.

— Cicho! nie słyszę już nic — wyrzekł nadsłuchując.

Z góry widzieliśmy dosyć dobrze całą drogę. Po jakiejś chwili ujrzeliśmy dwóch jeźdźców zbliżających się powoli.

Stanęli przed pawilonem, jeden z nich zsiadł z konia i zbliżył się do krzaka, w którym niedawno jeszcze byliśmy ukryci. Rozgarniał rękami gałęzie i zeszedł do rowu. Po chwili ukazał się znowu, wsiadł na konia i jechał dalej powoli obok towarzysza.

— Czy jedziemy dalej? — zapytał tenże, kiedy dojeżdżali już do ścieżki.

— Chyba nie! Kazano nam przeszukać, ten krzak. Niema nikogo! Gdzież to szukać kogo w takich ciemnościach.

— A więc wracajmy!

— Wracajmy!

Kiedy oddalili się dostatecznie, uniosłem się ostrożnie i spojrzałem za nimi.

— Ależ to żandarmi! — szepnąłem ze zdziwieniem.

— Oczywiście — odpowiedział Dalton spokojnym głosem. — Kogóżeś chciał, żeby nam przysłał z Vesinet nasz przyjaciel Markas?

— Do pomocy?

— Co znowu! Do zaaresztowania nas. Czy ty sądzisz, że to rzecz przyjemna dla ajenta policyjnego być pochwyconym jak pierwszy lepszy rzezimieszek i związany jak baran? On by nam chętnie kajdanki nałożył na ręce. A w godzinę później uwolnił nas przepraszając gorąco... Ale ja mu za to odpłacę jeszcze!

— A teraz co robimy?

— Teraz musimy się stąd jaknajprędzej oddalić. Możemy być pewni, że Markas uczyni wszystko aby zapobiedz naszym poszukiwaniom. Nie możemy więc dłużej czuwać nad domem Jerzego Dambleuse. Niemamy tu na razie nic do roboty. Chodźmy więc.

— Piechotą?

— Niestety, piechotą mój kochany.

— Którędy pójdziemy?

— Tą ścieżką.

— Oddalimy się od drogi. Zresztą ścieżka jest bardzo męcząca.

— Nie obawiaj się. Okrążymy nią tylko Rainey i znajdziemy się znowu na gościńcu. Przekonasz się także, że nie zmęczysz się bardzo.

Rzeczywiście o kilkanaście kroków dalej, ścieżka nagle w dół się opuszczała i wijąc się pomiędzy polami, łączyła się z gościńcem.

— No zadowolony jesteś — zaśmiał się Dalton, kiedy w pół godziny potem szliśmy już szeroką, bitą drogą. — Udamy się teraz do Bondy, gdzie może dostaniemy jaki powóz. Jeżeli nam się to nie uda. wsiądziemy na pociąg odchodzący o pół do piątej.

— Za trzy godziny?

— Tak, za trzy godziny. Ale noc ładna! Dziękuj Bogu, że deszcz nie pada. Wycieczka ta byłaby mniej przyjemna.

Powolnym krokiem podążaliśmy do Bondy.

Czułem się teraz bardzo zadowolonym, że idę tu obok Daltona, a nie w towarzystwie żandarmów nasłanych na nas przez Markasa. Myślałem także z przyjemnością o jego porażce. Człowiek ten, który tak pokorny przyszedł prosić Daltona, aby „pracował“ razem z nim, stawał się teraz popejrzanym i niebezpiecznym. Chytrze, podstępnie, w fałszywem przebraniu, sam na swoją rękę przystępował do jakichś tajemniczych badań i poszukiwań.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JÓZEF LASOŃ.

Gangrena

Z CYKLU: „NA FALACH ŻYCIA".

2)

— Właściwie ja tu przybyłem z interesem do szanownego pana radcy — zwrócił się Gucio do pana Antoniego. — Można zarobić grubo!

— Cóż to? Cóż to? — nerwowo spytała pani gospodyni.

Gucio uśmiechnął się do pani domu, ruchem głowy wskazując na siedzących. Po odejściu dziadusia i dzieci do sypialni, Gucio rozpoczął:

— Mam dla pana Antoniego doskonały interesik. Można za kilka tygodni ładny kapitalik zarobić, bez troski żyć. Bo cóż? Pan Antoni dwadzieścia kilka lat w służbie i co ma z tego? Czy może żyć za swoją solidną pracę, za tyle lat służby? Głód i nędza. Pensya nie wystarcza na to, ażeby raz dziennie suchego kawałek zjeść. Ja znam państwa z przed wojny i wiem, jakeście żyli, a dziś... dziś, gdyby nie to, że nacie te dwa frontowe pokoje, cóżby było?

— Przykro to — przerwała pani Katarzyna — ale co robić?! Musiałam dziewczętom wynająć pokoje, bo z czegóż żyć, wychować dzieci, na miłość boską. Wstyd mnie, co prawda nieraz, dzieci własnych się wstydzę, ale co robić? Żołądek nie ma litości!

— Dobrodziejko! — pan Gucio zapewniał — trudno, gdy się musi, to się musi. Ale przecież jestem państwu życzliwy i chciałbym dopomódz.

— Słucham! Słucham! — rzekł pan Antoni.

— Otóż rozchodzi się o to. Z za granicy, z Czech, przesyłane będą wagony, które trzeba opatrzyć numerem urzędowym, postarać się o rzeczywisty fracht kolejowy i dotransportować do naszej stacyi. Za każdy wagonik dwieście tysięcy marek. Tygodniowo może iść do pięciu wagonów. Granica jest już załatwioną, dworzec kolejowy także, rozchodzi się tylko o pana Antoniego. Wprawdzie chciał to zrobić kto inny, ale ja jestem państwu życzliwy i pragnę dać wam dobry interes. Przyznam się, że zrobiłem już około piętnaście wagonów. No co, panie Antoni, zgoda!?

Antoni znieruchomiał przy stole. Nie przerywał mowy Guciowi, wsłuchiwał się i rozważał. Właściwie powinien się oburzyć — rozmyśla — robi mi po prostu złodziejskie propozycye, oszukaństwa i fałszerstwa idące w miliardy. Miał zamiar kilka gorzkich słów prawdy rzucić w odpowiedzi, ale oczy żony odwiodły go od tego zamiaru. Wyczytał w oczach żony, że propozycya ta przypadła jej do serca, że chwyciła się tej myśli, jak deski ratunku.

— No i co panie Antoni, zgoda?

— Nie, drogi — odparł Antoni po namyśle — propozycya ta nie jest dla mnie.

— Dlaczego?

— Jest niewykonalna!

— Tyle razy się udało!

— Ale ja się boję.

— Czegóż się boisz — przerwała gniewnie pani domu.

— Boję się grzechu, oszustwa, no i... kary śmierci. Ustawa jest sroga i poprostu obawiam się zasłużyć na karę śmierci, choćbym jej zdołał nawet uniknąć.

Gucio wspólnie z żoną poczęli go przekonywać o konieczności rozpoczęcia nowego życia, wydostania się z matni codziennych trosk i braków, ze szpon nędzy i upodlenia.

— Wstyd, że ja, twoja żona, muszę odnajmywać pokoje dziewczętom, po to, żeby wyżyć. Masz dorosłą córkę, syna do wychowania i musisz to zrobić.

Powiedziawszy to, pięścią uderzyła w stół tak silnie, że talerze podskoczyły do góry.

Prybowski skrzyżował ręce na piersiach i odrzekł płaczliwym głosem:

— Przysięgam, nie mogę, nie mogę!

— Musisz! musisz!...

— Dobrodziejko! Mamy czas! Jutro przyjadę autem, pojedziemy na kolacyjkę, jakoś się to wszystko zrobi i ułoży.

Zapowiedź kolacyjki i auta uśmierzyły gniew pani Katarzyny. Serdecznie podziękowała Guciowi za wszelkie starania i odprowadziła go do drzwi. Ukłonił się niziutko, uścisnął bezwładną dłoń pana Antoniego, zostawiając go na pastwę losu, pewny, że propozycya skierowana, jutro czy pojutrze będzie przyjęta.

W przedpokoju natrafił na jakiegoś nieznajomego mężczyznę, który pospiesznie zdzierał zarzutkę, ze wzrokiem spuszczonym ku ziemi. Przez omyłkę zabrał jego kapelusz i właśnie przepraszał go za nieuwagę.

Nieznajomy wyszedł pospiesznie. Gucio ujął klamkę drzwi i w tejże chwili drzwi od frontowego pokoju uchyliły się.

Gucio wydał zdziwiony okrzyk.

— Ira! Ty tu!?

— Tak! tak — roześmiała się niewiasta stojąca we drzwiach — to ja.

Sublokatorka państwa Prybowskich, Irena, była starą znajomą pana Gustawa. Historya jej nie ciekawa, przeciętna życia kurtyzany. Opowiadają je wiecznie. Jedne mówią z przyzwyczajenia, z braku tematu, inne, wspominając pierwszego kochanka, usiłują się rozkoszować wspomnieniem.

Gustaw poznał Irenę w czasie, gdy rzuciła się w obłędny taniec rozkoszy, który stał się podstawą jej bytu. Był wówczas praktykantem telegraficznym, wydalonym z powodu jakiejś niejasnej sprawy, z której się rozmaicie tłómaczył. Rozmaitość ta zmywała niewinność udawadnianą w słowach. Przygarnęła go, żywiła i ubierała. Podobał się jej i lubiła go bardzo. Stał się jej przez jakiś czas niezbędny i pożyteczny. Niezbędny i pożyteczny, gdyż w chwilach samotności wywczasowych godzin miała z kim porozmawiać, kim się rozerwać i pobawić. Tak jak dziecku zabawka, jej niezbędy był wówczas Gustaw.

Wojna ich rozdzieliła. Wymiotła Gustawa z opiekuńczych ramion Ireny, wyrzuciła na rozkołysane fale burzy wojennej. Wypłynął szybko na wierzch, zdobył stopień sierżanta prowiantowego. Ciągnął za liniami wojsk, jak kruk za żerowiskiem, wysilając spróżniaczoną dotychczas energię i mózg na zdobycie majątku kosztem wszystkiego i wszystkich. Mackami polipa przyczepiony do powierzonego mu zadania i funkcyi, ssał krzywdę żołnierzy i armii. Wyszedł z wojny zwycięski, zasobny, przygotowany do dalszego życia; wojna uczyniła zeń człowieka sprytu, energii, zaostrzyła zęby, wyciągnęła ukryte pazury pierwotnego człowieka silnego, który pożerał słabszego bez wstrząśnień sumienia, pił łzy krzywdy innych, bez uczucia goryczy uczynku, gotowego do każdego szelmostwa, wiodącego do majątku.

Opowiada właśnie przeżyte historye i zamiary na przyszłość. Jest wprawdzie dość bogaty, ale kapitał dzisiaj nic nie znaczy. Trzeba pracy, szybkiego obrotu kapitału; do pracy czuje niezużytą energię; wprost nadmiar sił. Przybył do Prybowskich z ważnym interesem. Jest pewny, że Prybowski zgodzi się na jego warunki i w ciągu najbliższych tygodni kilka wagonów uda się przy pomocy Prybowskiego wyładować na miejscu. W interes ten włożył niemal całą gotówkę. Są to po części materyały zbytkowne, które nie wolno sprowadzać z zagranicy, ale tem pewniejsze są zyski. O ile uda się ten interes, a udać się musi, może sobie odpocząć kilka miesięcy.

Przejęty jest opowiadaniem; twarz wydłużona błyszczy ożywieniem, oczy nabrały blasku rozżarzonych węglików. Silniejsze słowa mówi dobitniej, zaciskając muskularne pięście; czai się jak tygrys w dżunglach na to „coś" upatrzone. Skokiem przedrze zapory dżungli, pazurami rozedrze ofiarę, zdusi i wypije krew. Poprostu Prybowski musi mu uledz. Ma na to środki. Jeśli nie, to zdusi go w pięściach, rzuci na śmietnisko losu.

Irena wyciągnięta na szezlongu, w różowym szlafroczku, podparła rękami głowę i słucha Gustawa. Podziwia go w tej chwili. Znała go zupełnie innym, bezradnym, leniwym, pasożytującym jej kosztem. Poprostu piesek pokojowy przemieniony przez wojnę w lwa nieustraszonego, krwiożerczego, wiecznie wygłodniałego i nieustannie żerującego. Jeśli był dla niej obojętnym, staje się ciekawym; służył igraszkom jej kaprysów, chce być igraszką jego silnych pazurów.

Ale Gustaw, rozigrany zamiarami, nie widzi i nie zważa na Irenę. Wreszcie wstaje z zamiarem odejścia.

— Gdzie idziesz? Zostań!?

— Nie mogę dziecinko. Żona czeka w kawiarni.

— Żona!? — zdziwiona zrywa się z szezlongu.

— No tak! Ożeniłem się przed miesiącem.

Irena zaczyna się zlekka ironicznie śmiać. Patrzy zdziwiony.

— Że znalazła się kobieta, która zdecydowała się pojąć za męża ciebie?

— Mówisz przez zazdrość!

— Zazdrość!? Czego? Możliwe, że w pierwszej chwili sądziłam, żeś przyszedł zbogacony rzucić mi się do nóg i prosić o rękę, ofiarowując cały zdobyty grosz. Ostatecznie możebym się zdecydowała. W każdym razie choćby dlatego, że małżeństwo dałoby mi firmę, trochę odpoczynku, mniej trosk. Ale nie mam czego żałować. Miałam ciebie dosyć, aż do znudzenia.

— Mam pewien zamiar.

— Zamiar — zdziwiona patrzy na Gustawa — względem kogo i o co?

— Jestem dość bogaty, mogę zapewnić spokojne, dostatnie życie!

Roześmiała się głośno.

— Szkoda! Ale widzisz, nie mogę przyjąć tej wspaniałej propozycyi. Krępowałoby mnie to niezmiernie, a ja kocham wolność, swobodę. Następnie nie imponuje mi to. Mój drogi, na to jeszcze mam czas! Jestem jeszcze młoda, piękna, świat stoi przedemną, a wy mężczyźni u mych nóg! Poprostu czołgacie się u mych stóp, To mnie bawi, to mi sprawia rozkosz.

Gustaw mówił, przekonywał. Czytała w jego oczach fałsz, kłamstwo pragnącego oszukać. Te wszystkie słowa, wygłaszane przysięgi w tejże chwili, nie są niczem innem, tylko żądzą rozpierającą krew. Widzi to dobrze, wyczuwa.

Tych kilka ostatnich chwil przyprowadziło ją do równowagi. Lew przemienił się znów dla niej w pieszczonego psiaka, który na dobitek dostał nosacizny i należy się go pozbyć, póki choroba nie przybierze dalszych rozmiarów.

— Głupcze — roześmiała się Irena — ani ciebie, ani twoich bogactw nigdy nie pragnęłam i nie będę pragnąć. Wy mężczyźni jesteście zawsze podli, jeśli chodzi o kobietę. A każdy z was jest zdolny popełnić zbrodnię; jeden dla kobiety, drugi zaś przez kobietę. — Możesz iść — wskazała ręką drzwi — do żony.

Gustaw w milczeniu wysunął się z pokoju. W przedpokoju natknął się na Prybowską, która gasiła światło. Ucałował podaną rękę, wysunął się ukradkiem z przedpokoju.

Prybowska zamknąwszy mieszkanie, drepcząc pantoflami, ruszyła do sypialni. Mąż leżąc w łóżku, wypalał ostatniego papierosa, przeglądając poranny dziennik.

— Cóż tam w dzienniku? — zapytała.

— Węgiel podrożeje o sto procent.

— Za węglem pójdzie wszystko! Drożyzna i drożyzna! Człowiek poprostu się sprzedaje i nie może wyżyć. Stanowczo mój kochany — przysiadła się do łóżka męża — musimy coś radzić. Ta dziewczyna także taka. Ja takiego życia nie mogę znieść — mówiła rozczulając się. — Zapewne taka sama ulicznica, jak poprzednie. Mówiła, że mężatka, że mąż przyjedzie!

— To trzeba jej wypowiedzieć!

— Z kawalerami także to samo! Będzie co chwilę przyprowadzał kolegę i koleżanki. A przecież córka i syn dorastają! A przecież z pensyi wyżyć niepodobna. Nędza i nędza.

— Trudno, trzeba wytrwać — odpowiada mąż.

— Trzeba umieć walczyć o los — odpowiada kobieta — inni ludzie żyją, dobrze im się powodzi, mają co jeść, w co się ubrać. Ot żona konduktora z oficyn w jedwabiach chodzi...

— Tak, w jedwabiach.. za krzywdę ludzką!

— Jaką krzywdę? — ździwiona zwraca się do męża — on zapobiegliwy, sprowadza towary, handluje...

— Kradnie — szepce z trwogą Prybowski — kradnie państwo na towarze niecłonym, kradnie ludzi na towarze przemyconym. Ja tak żyć nie chcę... Ja tak się spodlić nie mogę...

— Widzisz — odpowiada — czy myślisz, że o nas ludzie inaczej mówią? A pokoje, które odnajmuję, które co parę dni zmieniają lokatora. Gdyby nie te dwadzieścia tysięcy miesięcznie zarobione z pokoji, chyba umarlibyśmy z głodu. Tylko to, że córka dorasta, zarazić się może tą wścieklizną życia, jaka się rozpanoszyła, tą gangreną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KAROL DICKENS.

ZŁAMANA SZPADA

W XVI wieku pod panowaniem królowej Elżbiety mieszkał w Londynie młody i dziarski czeladnik, który kochał się w córce swojego majstra. Nie on sam jeden był zapewne w swoim czasie w Londynie w tym samym przypadku, ale o nim tylko mam zamiar tu mówić, a nazywał się Hugo Graham.

Ten Hugo był w terminie u uczciwego fabrykanta łuków, nazwanego majster Stephens, który mieszkał w cyrkule Cheype, a uchodził za wielce zamożnego majątkowo. Wieści były wówczas tak samo jak i teraz omylne, ale wówczas tak jak i teraz traf sprawdzał je czasami i ci, którzy przypisywali majstrowi Stephens wielki majątek, nie mylili się wcale. Rzemiosło jego było bardzo zyskowne pod królem Henrykiem VIII, który wielce cenił łuczników angielskich; a ponieważ majster Stephens umiał żyć porządnie i oszczędnie, córka jego jedyna miss Alicya była najbogatszą dziedziczką z całego cyrkułu; młody Hugo dowiódł już niejednokrotnie w walce na kije, że była i najpiękniejszą, a jako prawdomówny kronikarz i ja muszę wyznać, że w samej istocie tak było.

Gdyby Hugo mógł podbić serce pięknej miss Alicyi, strzaskawszy głowę każdemu, ktoby się ośmielił wątpić o jej piękności, byłby najszczęśliwszym z ludzi. Ale chociaż córka fabrykanta łuków uśmiechała się nieraz tajemnie na wieść o jego bohaterskich czynach dla miłości jej powziętych, chociaż służąca jej donosiła Hugonowi o każdym takim uśmiechu i chociaż wdzięczny Hugo wynagradzał ją hojnie pocałunkami i podarkami za każde takie doniesienie, żadnego jednak w uzyskaniu wzajemności swojej uwielbianej nie robił postępu. Nieraz wieczorem, kiedy z towarzyszami swoimi bawił się w te gry, które wymagają wiele siły i zręczności, spojrzenie jej czarnych oczu dodawało mu zapału i siły, ale to spojrzenie udzielała ona równo wszystkim, po cóż więc starać się o zwycięstwo, kiedy Alicya miała ten sam uśmiech dla zwyciężonych, co i dla zwycięzców.

Jednakowoż Hugo kochał ją zawsze i coraz bardziej. Myślał ciągle o niej w dzień, marzył o niej i w nocy; najnieznaczniejsze jej wyrazy wbijały mu się w pamięć, znał nawet najdrobniejsze jej poruszenia, a serce drżało mu w piersiach, skoro tylko w przyległym pokoju słyszał odgłos jej kroków, albo brzmienie jej głosu. Dla niego dom starego fabrykanta był mieszkaniem anioła, powietrze i przestrzeń wokoło niej wydawały mu się zaczarowane. Nie byłoby go nawet zdziwiło, gdyby widział kwiaty z pod stóp jej wyrastające.

Nigdy żaden czeladnik nie był tak żądny jak Hugo odznaczyć się pod okiem jej, którą kochał... Często marzył, że widzi mieszkanie jej w płomieniach, a to jedynie po to, żeby się rzucić pomiędzy tłum przestraszony, porwać Alicyę w objęcia i ocalić ją z pośród dymiących się szczątków, albo zdawało mu się, że jakieś wojsko nieprzyjacielskie otoczyło miasto i szturmuje do domu majstra Stephensa i upadał na progu pokryty ranami i szczęśliwy, że umiera w obronie Alicyi. O jakże śmierć sama byłaby dlań słodką, gdyby ona łzą jedną wynagrodziła odwagę jego i poświęcenie.

Od czasu do czasu ojciec i córka chodzili w odwiedziny wieczorne do jakiego sławetnego mieszczanina o godzinie 6-tej wieczorem (który to czas był wtedy na odwiedziny wieczorne oznaczony), a naówczas Hugo obwijając się szykownie w niebieski płaszczyk, zwykłe ubranie czeladników, towarzyszył im w powrocie, niosąc latarnię i kij swój wierny. Były to najpiękniejsze chwile jego życia; przyświecać krokom przez drobne nóżki Alicyi stawianym, podstawiać jej ramię do oparcia się w miejscach, gdzie przechód był utrudnionym i korzystać z jej sposobności, żeby dotknąć się gładkiej jej rączki... O! to było prawdziwe szczęście dla niego.

Kiedy noc była piękna, Hugo postępował za swoją kochanką i jej ojcem, tworząc straż tylną, z oczami wlepionemi w wysmukłą kibić pięknej Alicyi. W taki sposób przechodzili przez labirynt ciasnych uliczek miasta, to idąc bokiem starych domów z wystającymi na ulice gankami, z których powywieszane szyldy przeciągały się długimi ruchomymi cieniami, to pod jakiem ciemnem sklepieniem, co im widok nieba i światła księżyca zakrywało. Jeżeli krzyk jakiego nocnego ladaco słuch ich uderzał, córka majstra Stephensa zwracała trwożliwie wzrok swój na Hugona i głos jej błagający prosił go o przybliżenie się; naówczas czeladnik porywał za kij i życzył sobie spotkania ze dwunastu zbójów, z którymi by mógł walczyć w obronie pięknej Alicyi.

Stary majster Stephens pożyczał zwykle pieniędzy na procent młodym paniczom, należącym do dworu i nieraz się zdarzało, iż jaki dworzanin wykwitnie ubrany, zsiadał z konia u drzwi jego; a żaden pewno z kupców okolicznych nie odbierał tyle tak świetnych odwiedzin młodych ludzi, w jedwab, aksamit i złoto przybranych. Zdaje się, że w owych czasach również jak i w teraźniejszych, najbogatsi najwięcej potrzebowali pieniędzy.

Pomiędzy tymi strojnie przybranymi paniczami był jeden, który zawsze konno sam przyjeżdżał. Miał on konia bardzo pięknego, a ponieważ przyjeżdżał bez lokaja, oddawał cugle Hugonowi, który pilnował konia, podczas kiedy jeździec zamykał się na poufną naradę z majstrem Stephens. Pewnego dnia, kiedy siadał na koń, miss Alicya stała w oknie pierwszego piętra wychodzącem na ulicę i zanim potrafiła cofnąć się z okna, już ją młody dworak dostrzegł i odkrywszy głowę, mile się jej ręką od ust ukłonił. Hugo popatrzał za oddalającym się w podskokach, a rumieniec zgrozy wybiegł mu na twarz; ale zarumienił się jeszcze bardziej, kiedy podniósłszy oczy do okna, ujrzał miss Alicyę, śledzącą ciekawym wzrokiem za młodym dworakiem.

Ten powrócił kilkakrotnie, a za każdym razem przepyszniej jeszcze ubrany; za każdym razem także małe okienko pierwszego piętra otwierało się i miss Alicya ukazywała się w niem. Nareszcie pewnego dnia znikła ona z domu rodzicielskiego. Musiało ją to wiele kosztować, bo wszystkie podarunki, jakie otrzymała od ojca, leżały porozrzucane w jej pokoju, jak gdyby kolejno żegnała się z niemi, jak gdyby przeczuwała porzucając je, iż przyjdzie dzień, w którym te zakłady miłości ojcowskiej ranić będą jej serce... A jednak opuściła dom rodzicielski.

Zostawiła ona list, w którym polecała biednego swego ojca staraniom Hugona i życząc mu więcej szczęścia, niżby go kiedykolwiek przy niej mógł doznać... O przebaczenie ojca nie śmiała prosić, ale błagała Boga o zlanie na niego swego błogosławieństwa... Tak się kończył ów list, na którym widne były jeszcze łez jej ślady.

Stary ojciec Alicyi uniósł się straszliwym gniewem i podał skargę do stóp tronu; ale dowiedział się z rozpaczą, że królowa żadnym sposobem zmartwieniu jego zapobiedz nie może, bo Alicya wraz z swoim kochankiem uciekli na ląd stały. Na potwierdzenie tej wieści, dostał w lat kilka z Francyi list jej własnoręczny, ale pismo było tak niewyraźne, iż widocznie kreśląc je ręka Alicyi drżała. Łatwo jednak było pojąć z tego listu, iż nieraz przychodził jej na myśl dom rodzicielski i niewinny pokoik dziewiczy; dodawała przy tem, iż widziała we śnie ojca umierającego bez błogosławienia jej i że to rozdzierało jej serce.

Stary Stephens chorzał długo, nie chcąc pozwolić Hugonowi oddalić się od siebie, wiedział bowiem o tem, iż Hugo kochał jego córkę i był to ostatni węzeł, który go jeszcze do ziemi przywiązywał. Umarł nareszcie zapisując handel i majątek dawnemu swojemu czeladnikowi, polecając mu na łożu śmierci pomszczenie córki, jeżeli kiedy zdarzy mu się napotkać sprawcę jej nieszczęścia.

Od dnia ucieczki miss Alicyi już nikt nie widział Hugona ani na miejscach, gdzie odbywały się zwykłe igrzyska, ani na przechadzkach, ani na zabawach miejskich. Doszedł on do wielkiej powagi pomiędzy mieszczanami londyńskimi, ale rzadko kto widział go uśmiechającego się i nigdy do żadnych zabaw publicznych nie należał. Odważny, ludzki, wspaniały, był on ogólnie kochanym; wszyscy którzy znali życie jego (a każdy je znał prawie) żałował go; a kiedy wieczorem przechodził po ulicach, lud odkrywał przed nim głowy, okazując mu tym sposobem niemą oznakę uszanowania i sympatyi.

Pewnego wieczoru majowego..... była to właśnie rocznica urodzin Alicyi, a już dwadzieścia jeden lat upłynęło od jej ucieczki z domu rodzicielskiego.... Hugo Graham siedział w pokoju, który był świętym dla niego z przyczyny pamiątek przeszłości, jakie zachował w sobie; chociaż w sile wieku, był on już siwy jak gołąbek. Siedząc sam z swojemi myślami, nie spostrzegł, iż mrok zapadał powoli, kiedy nagle usłyszał nieśmiałe uderzenie młotka u drzwi wchodowych.

Zeszedł pospiesznie, otworzył i ujrzał przy świetle lampy, którą niósł w ręku, kobietę leżącą krzyżem na progu. Podniosła się nagle, wpadła w kurytarz i szybko po schodach pobiegła na górę. Zdziwiony tym pośpiechem Hugo Graham sądził, iż ona ucieka przed pogonią... ale nikogo nie było na ulicy.

Czyliż to było widzenie jakie, złudzenie wyobraźni... Po drżeniu serca swego przeczuł prawdę, zamknął drzwi i poszedł za tą kobietą. Tak... to była ona, tam, w tym pokoju, który niegdyś zamieszkiwała czysta niewinna... niestety... teraz tak zmieniona, iż sam Hugo mógł ją zaledwie poznać... To była ona... klęcząca z rękami złożonemi do modlitwy i ukrywająca twarz miotaną uczuciami rozpaczy i żalu.

— Mój Boże! mój Boże! — wołała — odbierz mi życie! Chociażem sprowadziła na ten dom śmierć, boleść i hańbę, użycz mi łaski twojej, dozwól mi tu umrzeć.

Hugo Graham zauważył, iż oczy jej były suche i że drżąc toczyła naokoło obłąkanym wzrokiem. Wszystko było na tem samem miejscu co dawniej: łóżko jej stało przy ścianie jakby dziś z rana wyszła z domu. Widok tych wszystkich znajomych przedmiotów przekonał ją, że pamięć jej nie zgasła tu ani na chwilę... i mogła poznać wszystko co straciła przez własną winę. To było zawiele na jej siły, zapłakała i zwalczona wzruszeniem upadła zemdlona na posadzkę.

W kilka dni potem rozeszła się wieść, iż córka majstra Stephensa powróciła do domu i że majster Graham oddał jej na mieszkanie dawny jej panieński pokój. Niektórzy dodawali jeszcze, iż zwrócił jej cały majątek z przeznaczeniem go na dobre uczynki, że przyrzekł szanować jej samotność i nigdy się nie widzieć już więcej. Te nowiny rozdrażniły wielce wszystkie cnotliwe kobiety z cyrkułu *Cheype*, zwłaszcza gdy jakby na potwierdzenie ich majster Graham przeniósł swoje mieszkanie do domu w sąsiedztwie. Jednakowoż wysoki szacunek, jaki miano dla niego, nie dozwolił sąsiadom wypytywać się go w tym względzie; a ponieważ dom majstra Stephensa pozostał zamknięty i nie widziano wychodzącego stamtąd w dnie świąt i uroczystości publicznych czy to na przechadzkę, czy to dla zakupienia rzeczy do stroju i stołowych potrzeb, kobiety rozsądne wywnioskowały z tego i zawyrokowały pomiędzy sobą, iż żadnym sposobem kobieta nie mogła tam mieszkać.

Ucichło już prawie zupełnie o tym wypadku, kiedy uwagę sławetnych mieszczan i mieszczanek londyńskich zwróciło na siebie postanowienie jej Królewskiej Mości, w którem Najjaśniejsza Pani nakazanie zwyczaj noszenia długich kling hiszpańskich (jako dążący do mnożenia wypadków niespokojności, pojedynków i wylewu krwi) nakazywała, iż w dniu oznaczonym kilku wybranych z pomiędzy znakomitych mieszczan ma się udać do bram miejskich i tam publicznie przystąpią do złamania szpady każdego, który będzie chciał wejść do miasta, a którego klinga będzie chociażby o kilka cali przenosić długość trzech stóp prawem oznaczoną.

W wypełnieniu tego rozporządzenia, o którem wiele mówiono po mieście, po dwóch znakomitych mieszczan w dniu oznaczonym stanęło na straży u bram każdej z bram miasta, mając sobie dodane oddziały straży miejskiej, które miały przypilnować zbrojną ręką wykonanie nowego prawa i aresztować każdego, ktoby chciał być nieposłusznym najwyższym rozkazom. Mieczczanie owi mieli szpady mające służyć za wzór innym, do których długość każdej innej szpady powinna była zostać zastosowaną. Więc majstrowi Graham i drugiemu jeszcze mieszczaninowi polecono odprawić straż przy bramie Lud-Gate w bliskości kościoła św. Pawła.

Liczne się tam zebrało towarzystwo, bo oprócz urzędników prawem naznaczonych, nie brak było na ciekawych i ludziach bez zajęcia, którzy robili wiele i hałasu i wrzawy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Aby wywiązać się z przyjętego na się zobowiązania, niniejszą kronikę pierwszą w r. 1922., rozpoczyna autor od drugiej seryi życzeń, które przeznaczone są przedewszystkiem dla nowych P. T. Prenumeratorów i Czytelników. Nie życzy im, aby Nowego Roku doczekali, stało się to bowiem już bez jego interwencyi, składa natomiast życzenia, aby rok szczęśliwie przebyli, by po upływie dwunastu miesięcy można było powtórzyć je znowu w tej samej treści, jedynie ze zmianą liczby.

Jaki będzie r. 1922., to jest kiedy się zacznie, jak długo potrwa i kiedy się skończy, o tem najlepiej i najpewniej można się dowiedzieć z kalendarza, a specyalnie nadają się do tego celu „*Kalendarzyki kieszonkowe*“, jakie kwartalni Prenumeratorzy „Nowości Illustrowanych“ otrzymują jako premium od Wydawnictwa. Dla tych, którzy mają liczne rodziny i wiele interesów, odpowiedniejsze są „*Kalendarze biurkowe*“, zaopatrzone w rubryki celem notowania daty imienin, rozmaitych terminów i td., a stać się można właścicielem takiego przyjaciela domowego, dopomagającego skutecznie słabej ludzkiej pamięci, o ile uiści się przedpłatę przynajmniej na pół roku.

Stary Rok skończyliśmy zupełnie nowomodnym Sylwestrem. Zmieniły się czasy, zmienili z nimi ludzie, także ich zwyczaje i obyczaje. Ojcowie nasi żegnali Stary Rok w kościele, dziękując Panu Bogu, że doczekali jego końca, a prośby swe ponawiali w sam dzień Nowego Roku, aby uzyskać siłę i błogosławieństwo na następny. Oddawszy Bogu, co Boskiego, tu i ówdzie zabawiano się uczciwie w kółku domowem lub odwiedzając sąsiadów. Dziś jest inaczej. Stary Rok żegna się w knajpie, tam się też wita i Nowy, sam dzień noworoczny idzie wobec tego na ofiarę Morfeuszowi, co jest połączone z tą korzyścią, że jest się w ten sposób uwolnionym od dziękowania w gotówce za życzenia różnym gratulantom, którzy całemi procesyami przeciągają od domu do domu, przybywający z zawiadomieniem, iż „po raz pierwszy w tym roku pozwala sobie podnieść czynsz, aby zrobić dobry początek“ i stróż, życzący tradycyjnie „fortuny i niebieskiej korony“. W powojennych latach, zwłaszcza zaś w tym roku, odpadł nawet kominiarz, gdyż wiele domów z powodu braku węgli mogło się obejść bez jego opieki.

W noc Sylwestrową pełne były knajpy, a na twarzach wszyskich malowała się radość. Powodu do niej nie brakło nikomu, jedni cieszyli się, że łajdacki rok 1921. już się skończył, drudzy, którym we znaki się nie dał, iż następny nie będzie gorszy od swego poprzednika, a jeśli przebyliśmy szczęśliwie cholerę tyfus i czerwonkę, przetrzymamy i daninę, która jest wprawdzie bardzo bolesną dla niejednego, ale w każdym razie nie tak niebezpieczną. Spędzanie nocy Sylwestrowej w knajpie jest obcą naleciałością, która się u nas zaaklimatyzowała, jest to pamiątka po byłych niemieckich rządach, *Silvesterabend* bowiem to zwyczaj wybitnie niemiecki. Kościuszko, któremu pozwolono nareszcie opuścić gościnne mury Strażnicy pożarnej i stanąć na stokach Wawelu, skąd piękny widok roztacza się na całe miasto, zdziwi się z pewnością niepomiernie, że Kraków tak się teraz hucznie bawi, gdy inaczej bywało za jego pobytu w naszych murach. Ci, którzy widzieli już Naczelnika na nowem stanowisku, powiadają, że wskazuje oczyma stale w tę stronę, gdzie niegdyś wznosił się dworek Michałowskich jego mieszkanie krakowskie, zdjęta zaś krakuska ma oznaczać podziw, że były pałac Wodzickich, na rogu ulic św Anny i Wiślnej, skąd wyszedł w dniu złożenia swej słynnej przysięgi na Rynku krakowskim, wygląda tak] po europejsku. O tem, że na Rynku Krakowskim poświęcono już kamień węgielny pod jego pomnik, prawdopodobnie nie wie, bolałoby go to bowiem z pewnością, że mu odmówiono gościny w sercu Krakowa. Stało się jednak może i lepiej. Kamień pamiątkowy, przypominający akt przysięgi, choć nie umieszczono we właściwem miejscu, musiał dla celów praktycznych usunąć się z drogi linii tramwajowej, kto wie zatem, czy podobny los nie czekałby w swoim czasie i sam pomnik... Praktyczni Krakowianie, który z pomnika Mickiewicza zrobili sobie umownicę, pomnik Kościuszki mogli łatwo wyzyskać jako miejsce przyczepienia dla przewodów elektrycznych. Tam zaś, gdzie się obecnie znalazł, coś podobnego mu nie grozi. Stoi na Rondlu, na oczach wszystkich, gdy natomiast Władysław Jagiełło skrył się za Rondel, prawdopodobnie dlatego, aby go ludzie nie widzieli i nie krytykowali, jak na to zasługuje.

Na ogół wedle zapisków Urzędu statystycznego zjedzono w Krakowie w noc Sylwestrową prawie milion pączków (pięćdziesiąt marek sztuka), wypito przy tem parę tysięcy butelek szampana, przeważnie krajowego wyrobu, wesołość była ogólna, a najpoważniejsze dawniej lokale rozrywkowe dla najstateczniejszych ludzi zamieniły się w najordynarniejsze tancbudy. W sam dzień Nowego Roku apteki były w ruchu, wypito dwa tysiące siedmset butelek gorzkiej wody, aby się pozbyć zaległości z poprzedniego roku. Wobec tego, iż krajowa nasza produkcya w tym kierunku nie wystarcza, Morszyn bowiem wszystkich wymagań zaspokoić nie potrafi, postanowiono raz już nareszcie nawiązać stosunki handlowe z Węgrami, skąd pochodzą Hunyady i Franciszek Józef, do których miały stę czas przyzwyczaić nasze kiszki i uznały je za najbardziej lojalne środki przeczyszczające. Bawiący się w noc Sylwestrową mieli ułatwiany powrót do domu, przez całą noc szalał bowiem taki huragan, tak że prawdziwie Sylwestrowy, iż, ani się człowiek nie spostrzegł, jak się znalazł pod bramą swojego domicilium. Powiadają, że także w niebie, na wzór świata ziemskiego urządzono rozmaite centrale, między niemi także i Centralę wiatrów, i że to właśnie ona, z powodu zamknięcia rachunków rocznych, wypuściła nadmiar nagromadzonych zapasów. W każdym razie rok zaczął się bardzo wesoło i to przy udziale wszystkich sfer, nawet neutralnych, wobec czego nie mają uzasadnienia narzekania, że są między nami jednostki, chcące się od ogółu społeczeństwa wyodrębnić. Corocznie w noc Sylwestrową dają one wyraz chęci asymilacyi, widzieliśmy w poprzednich latach, podczas puszczania w noc Sylwestrową na salą kawiarnianą lub restauracyjną tak zwanych „świnek szczęścia“, iż właśnie oni, choć uważają je za stworzenia nieczyste, brali najżywszy udział w pogoni za niemi. Za tę sympatyę, jaką je otaczają, są im one także wdzięczne i dlatego to cieszą się oni takiem szczęściem.

Wydatki Sylwestrowe tak się niejednemu dały we znaki, iż postanowiono zwrócić się do Sejmu warszawskiego, aby jak najrychlej przeprowadzono ustawę, nakazującą wypłacanie trzynastej pensyi w roku i to już w styczniu, najpóźniej zaś w lutym, zważywszy, że tegoroczny karnawał jest stosunkowo bardzo długi, kończy się bowiem dopiero w dniu pierwszego marca, kiedy znikną z widowni tańcujące pączki, a rozpoczną się „zawijane“ śledzie. Większość zabaw urządzoną będzie oczywiście na cel dobroczynny, aby zachęcić ogół do tem liczniejszego wzięcia w nich udziału, czy to jednak przyniesie odnośnym instytucyom jakąś korzyść materyalną, to rzecz zupełnie inna. Znamy wypadki, iż komitet zabawowy, używający dla reklamy firmy pewnej dobroczynnej instytucyi, kazał jej uważać za wielką łaskę, że nie żąda od niej przyczynienia się do pokrycia deficytu, jaki wykazują zestawienia, przez niego sporządzane, dochodów i rozchodów.

Jak dotąd, zapowiedzianych mamy kilkaset zabaw tanecznych publicznych na karnawał, nie licząc prywatnych, każdego z danserów czeka zatem kilka kilometrów do odtańczenia i biedak nie ma nawet tej pewności, że sobie z tej okazyi będzie mógł, jak to bywało po dawne lata, należycie podjeść i popić. Na gorące przyjęcie, zwłaszcza w domu, gdzie są panny na wydaniu, kawaler może i dziś liczyć, trudniej jednak liczyć na gorącą przekąskę, a cóż bez niej warta zabawa.

Załatwiwszy się w ten sposób z życzeniami noworocznemi i sprawozdaniem ze Sylwestra trzeba przyjść do właściwego porządku dziennego raczej tygodniowego, to jest do zakończenia zamknięcia rachunków roku 1921. Oczywiście na pierwszy plan wysuwają się owe wiatry, które w noc Sylwestrową tak się nam dały znowu odczuć. Wedle zapewnień meteorologów są one następstwem nachylenia osi ziemskiej, wedle przekonania polityków zaś nieszczelnego zamknięcia granic naszego państwa, które od strony wschodniej, to jest w sąsiedztwie z Wileńszczyzną i na odcinku tak zwanym ukraińskim, nie są dotąd uregulowane. I tamtędy najbardziej i najdokuczliwiej wieje. Wileńska dziura, choć przez nią dmuchają bolszewicy, nie jest jednak tak dokuczliwą, jak ukraińska. Plebiscyt w Wileńszczyźnie jest dla nas prawie pewny, ludność tamtejsza jest w większości i to bardzo znacznej polską, a ponadto nie mamy tam do czynienia z agitacyą tego rodzaju, jaką spotyka się na terenie południowo wschodnim, to jest na ziemiach ruskich, nazywanych dziś ukraińskiemi. Niema tam Wasylów Wyszywanych, Kostiów Lewickich, Petruszewyczów, renegatów Szeptyckich i im podobnych, wychowanych na polskim chlebie i z łaski austryackiej polityki za polskie pieniądze z fundacyi stypendyalnych Głowińskiego, Pukalskiego i innych, którzy, przeznaczając swe majątki i oszczędności na rzecz młodzieży polskiej, ani przypuszczali, że przyczynią się w ten sposób do przysporzenia wrogów swojemu narodowi.

Obecnie sprawa ukraińska wysunęła się znowu na pierwszy plan, przedewszystkiem o tyle, o ile rozchodzi się o byłą Galicyę wschodnią. Jak się zdaje, z nadzieją samodzielnej Ukrainy Zachodniej z królem Wasylem lub dyktatorem Petruszewyczem na czele, pożegnali się na razie politykomani ukraińscy, natomiast wysuwa się znowu nowa teorya połączenia ze sobą wszystkich byłych ziem ruskich, a król Wasyl, tymczasowo mianowany naczelnym wodzem wojsk ukraińskich przez profesora Szweca, ma się zamiar koronować na króla Wszechukrainy w Kijowie, o ile oczywiście batko Trocki nie założy swojego veta.

W sprawie ukrainy rozwinął nadzwyczaj żywą działalność metropolita Szeptycki i objechał w tym celu Europę, następnie zaś wybrał się po kweście do Ameryki, aby przekonać cały świat, że pokój jest dopiero zapewniony, jeśli będzie „jedna Ukraina i jeden jej pasterz“, nie stracił bowiem nadziei, iż uda mu się pozyskać dla unii z Kościołem łacińskim Rosyę prawosławną. Rzecz oczywista, że tym pasterzem nie może być nikt inny, tylko on. W podróż morską puszczał się bez obawy, wychowany bowiem w domu polskim, a do tego mając w swej rodzinie po kądzieli specyalistę w autorstwie przysłów polskich, wiedział dobrze, że „nie utonie“. Nie obawiał się także wieloryba, który swojego czasu miał podobno połknąć proroka Jonasza, gdyż współczesna zoologia mówi wyraźnie, iż wieloryb żywi się jedynie śledziami i innemi drobnemi stworzeniami morskiemi, gdy natomiast ksiądz metropolita należy do grubych ryb, a takiej nie zdołałby przełknąć. Gdyby jednak spotkało go nawet i to nieszczęście, nie ulega najmniejszej kwestyi, iż wieloryb, dowiedziawszy się kogo ma w swym żołądku, wyplułby go z pewnością, w obawie, aby nie rozwinął tam swej agitacyi ukraińskiej, która mogłaby zaszkodzić jego zdrowiu. Nie jest jednak wykluczonem, i to wydaje się pewniejszem, że starałby się go pozbyć inną, również naturalną drogą, tamtej wprost przeciwną, choć może wysokiej godności polityka ukraińskiego mniej odpowiadającą.

Czy jego misyonarska działalność w Ameryce odniesie skutek, w to wątpić bardzo należy. Dolarów przywiezie może nieco, ale politycznie niewiele zdziała, zwłaszcza, jeśli prawdą jest, o czem czytaliśmy w pismach codziennych, że Koalicya zaczyna nabierać przekonania, że sprawę byłej Galicyi wschodniej należy załatwić w myśl żądań polskich. *Otec* Andrij byłby zrobił lepiej, zostając w domu, zamiast narażać się na nieprzyjemności morskiej podróży. Po powrocie do domu będzie miał dużo roboty zanim uda mu się wykadzić należycie gmach św. Jura i to dziś, gdy kadzidło takie drogie.

Ukraińska sprawa jest dla nas bolączką, która dotąd bardzo nam dokuczała, obecnie zaś wchodzi w stadyum zaognienia i należało by sobie życzyć, aby pękła jak najrychlej i to bez pomocy zagranicznych chirurgów w guście Lloda George'a, lecz przy użyciu własnych, domowych środków. Zdrowo myślący Rusini powinni raz już dojść do przekonania, że ich rozwój narodowy i kulturalny jest pewniejszy w współżyciu z Polską niż pod opieką Rosyi, lub choćby Czech. Niemiecka marka notowaną jest wprawdzie wyżej na giełdzie niż polska, podobnie także i korona czeska, nie jest jednak wykluczonem, że w krótkim czasie może nastąpić gwałtowny ich spadek i z tem powinni się poważnie liczyć ukraińscy politykomani.

Po załatwieniu się z sprawą Wileńszczyzny i ukraińską będziemy mieć nareszcie granice i od Wschodu zapewnione, co jednak nie przeszkadza, że wogóle sprawa granic wschodnich naszych, wobec stanowiska, jakie zajmuje względem Polski rząd sowiecki jest i będzie zawsze niejasną, z traktatu w Rydze w Moskwie nic sobie bowiem nie robią, a pan Cziczerin ma dość czasu na redagowanie not dyplomatycznych, opartych na tak pewnych spostrzeżeniach, jak zebrane w Polsce przez posła Karachana przy pomocy porucznika Masłowskiego.

Skończywszy grudzień, a z nim rok 1921., stosunkowo dość szczęśliwie, choć bez węgli, powiadamy sobie, że pół zimy należy do przeszłości. Pozostają nam wprawdzie do przebycia jeszcze mrozy styczniowe, które zwłaszcza w samym środku miesiąca dawały się nam dawniej we znaki (około ruskiego święta Jordanu), obecnie jednak zima na mrozy zbyt się nie wytęża, cierpi natomiast na ustawiczne wiatry, wiejące, rzecz dziwna, prawie stale w niedzielę, jak gdyby nie wiedziały, że sprzeciwia się to ustawie o spoczynku niedzielnym.

Cech, jednocząc w sobie przedstawicieli jednego zawodu większego, lub kilku drobniejszych, pokrewnych sobie, przyczynia się do wyrobienia w nich solidarności, tworząc z swych członków niejako jedną rodzinę, mającą na celu obronę swych interesów i pomaganie sobie.

O ile dawne cechy były w Polsce ostoją niemieckości, o tyle dzisiejsze stały się źródłem życia prawdziwie narodowego, a dowód tego bardzo piękny złożył lwowski Cech ślusarzy, który, aby zadokumentować w tych ciężkich dla nas czasach swą polskość, ufundował Orła polskiego, przeznaczonego do ozdobienia szczytu lwowskiego Ratusza. O uroczystem odsłonięciu godła państwowości polskiej wykonanego w pracowni art. ślusarskiej F. Będkowskiego donosiliśmy w swoim czasie w naszem piśmie, podając równocześnie słowa, wypowiedziane przy tej sposobności przez starszego cechu, radnego miasta p. Pamera, świadczące aż nazbyt dobitnie o usposobieniu mieszczaństwa naszego, w szczególności zaś lwowskich ślusarzy, którzy przez usta swego przełożonego oświadczyli gotowość pospieszenia z pomocą sprawie narodowej w każdej chwili ilekroć okazałaby się tego potrzeba, bo ręka przywykła do władania młotem, może również dobrze i skutecznie władać szablą i karabinem.

Ratifikacya układu anglo-irlandzkiego.

Parlament irlandzki po całym szeregu posiedzeń tak publicznych, jak tajnych, ratifikował układ z Anglią, zawarty w dniu 6. grudnia ubiegłego roku. Opozycya, z de Valerą na czele, domagająca się dalej idących swobód niż te, jakie Irlandyi rząd angielski przyznaje, to jest utworzenia zupełnie niezależnej republiki, pozostała w mniejszości, zwycięzko wyszli twórcy układu z Griffithem na czele. Pozostaje zatem jeszcze uregulowanie stosunku południowej części Irlandyi, zamieszkałej przez ludność pochodzenia celtyckiego, wyznającą religię rzymską katolicką, do północnej części czyli tak zwanego Ulsteru, gdzie większość tworzą protestanccy, a sprawę irlandzką będzie można uważać za definitywnie załatwioną, co gdy nastąpi angielscy mężowie stanu pozbędą się jednego z największych swych kłopotów.

Umowa, zawarta pomiędzy Wielką Brytanią i Irlandyą, składa się z 18 paragrafów. Nadaje ona Irlandyi te same prawa, jakie mają dominia angielskie, wzoruje się zaś ściśle na statucie Kanady. W ten sposób Irlandya należy do imperyum brytyjskiego, a Irlandczycy pozostają poddanymi króla Jerzego V. Dlatego też członkowie parlamentu irlandzkiego będą składali przysięgę na wierność rządowi wolnego państwa irlandzkiego i na wierność królowi angielskiemu. Oprócz tego ma Anglia zagwarantowane, że jej udziałem będzie obrona wojskowa brzegów Irlandyi i że flota jej będzie mogła korzystać z portów i urządzeń nadbrzeżnych, potrzebnych do wykonywania tej obrony. W ten sposób sprawy wojskowe i zagraniczne pozostają w rękach Anglii, wszystkie zaś inne sprawy będą należały do rządu irlandzkiego. Irlandya będzie mogła mieć własną armię w stosunku do liczebności armii angielskiej, o ileby umowy międzynarodowe określały liczebność sił zbrojnych Brytanii. Tak samo Irlandya przejmuje odpowiednią część długów państwowych Anglii. Najwięcej miejsca poświęca umowa stosunkowi Irlandyi do jej części północnej, warta jest na kompromisie, jeśli w ciągu miesiąca od dnia ratyfikowania jej Ulster nie zaprotestuje w adresie skierowanym do króla przeciw zjednoczeniu, to zjednoczenie to nastąpi automatycznie, lecz będzie stanowił jedną całość z resztą Irlandyi.



Z życia Saint-Saensa Znakomity kompozytor francuski, Saint-Saens przy fortepianie.

zamieszkałej przez Anglików, protestantów, do tak zwanego Ulsteru. Jak to wiadomo, mieszkańcy Ulsteru dotychczas opierali się stanowczo przejściu pod władzę Irlandczyków, ci zaś ostatni stali twardo na gruncie niepodzielności swej wyspy. Umowa zaUlster zachowa wówczas pewną autonomię. Jeśli zaś Ulster zaprotestuje, to rząd wolnego państwa nie będzie miał władzy nad Ulsterem, będzie przeprowadzona granica pomiędzy dwoma państwami, które będą zupełnie od siebie niezależne. W wolnem państwie irlandzkiem będzie wówczas tylko rząd prowizoryczny. Stan taki ma trwać przez rok, jak powiada umowa. Z tego wynika, że jeżeli w ciągu roku nie nastąpi porozumienie pomiędzy Irlandyą a Ulsterem, to cała umowa upadnie i sprawa irlandzka będzie na nowo otwarta. Rozwiązanie sprawy zależy zatem od dojścia do skutku porozumienia pomiędzy dwoma częściami Irlandyi. Autorowie kompromisu liczą prawdopodobnie na to, że przez rok będą mieli czas na doprowadzenie do ugody i że sprawa w ten sposób będzie załatwiona.

Ulster protestuje przeciw zamiarowi automatycznego przyłączenia północnej Irlandyi do wolnego państwa irlandzkiego. Protestuje również przeciwko zastosowaniu zasady, że północna część Irlandyi powinna korzystać z tych nowych praw i przywilejów, co południowa.

Pierwszym jeneralnym gubernatorem Irlandyi ma zostać drugi z rzędu syn króla angielskiego.

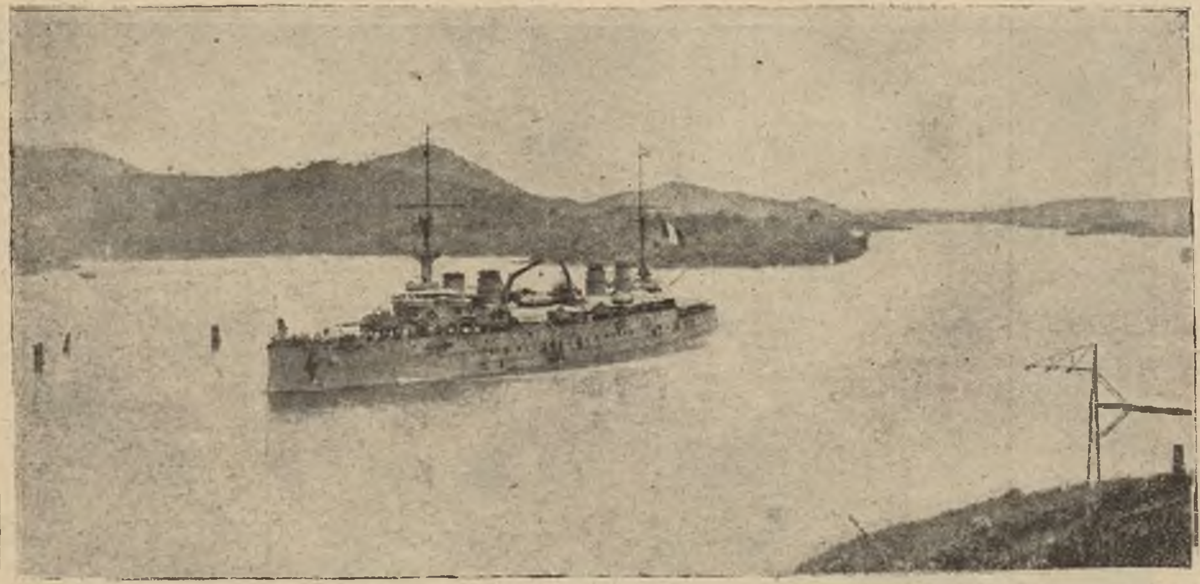


Na śladzie ludzi pierwotnych: Członkowie naukowej eksp. ang. badającej wnętrze Tybetu i szczyty Himalajów. Od lewej ku prawej siedzą: Mallory, Wheeler, Bullock, Morshead. Stoją: Wollaston, Col. Bury, Heron, Raeburn.

Na śladzie ludzi pierwotnych.

Wspominaliśmy już poprzednio, donosząc o postępach angielskiej wyprawy w głąb Himalajów, iż członkom ekspedycyi udało się odnaleźć na wysokości sześciu tysięcy metrów na śniegu odciski nagiej stopy ludzkiej, co dowodziłoby, iż okolice te, uważane dotąd za bezludne, nie są pozbawione mieszkańców, o których dotąd nauka nic nie wiedziała, obecnie zaś wysila się na rozwiązanie zagadnienia,

czy się ma do czynienia w danym wypadku z człowiekiem pierwotnym, czy też z ludnością przybyłą później, a zdziczałą skutkiem zupełnego zerwania styczności ze światem cywilizowanym. Sprawą tą



Z podróży jen. Mangina po Ameryce Południowej: Krążownik francuski *Jules-Michelet*, na którym przybyła do Ameryki Południowej misya francuska, na jeziorze Gatun (Kanał Panamski).

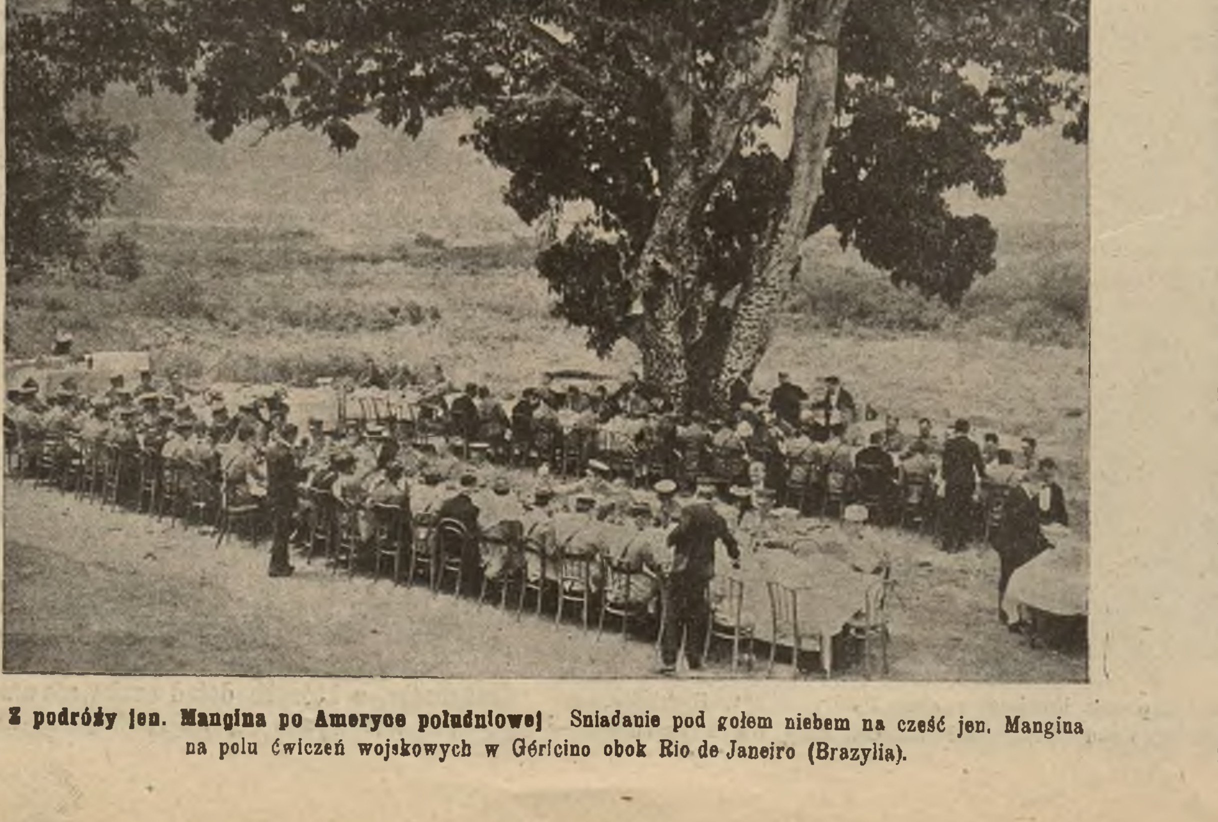
zajęła się bardzo żywo prasa angielska, z której dowiadujemy się, że członkowie angielskiej ekspedycyi naukowej, udającej się na szczyt góry Everest, ze zdumieniem dostrzegli na wysokości 6000 metrów odciski nagich stóp ludzkich na śniegu. Tybetańscy przewodnicy, towarzyszący ekspedycyi, przerazili się tymi śladami, ale bynajmniej nie zdziwili się. Wiedzieli bowiem o egzystencyi „ludzi śnieżnych“ (Meehoh Rangini), zamieszkujących niedostępne dla innych istot ludzkich wyżyny Himalajów na stokach gigantycznego Everestu, Chumol hari i Karola. Tybetańczycy obawiają się bardzo tych ludzi, dzikich i okrutnych, boso i nago chodzących po śniegu. Wiadomość o tych dzikich ludziach, podana przez pułkownika Howard Bury'ego, przywódcy ekspedycyi, obiegła całą prasę angielską i stała się przedmiotem ożywionej dyskusyi wśród wybitnych antropologów. Wielu z uczonych wyrażało wątpliwość co do istnienia owych „śnieżnych dzikusów“, przypuszczając raczej, że owe ślady były śladami wielkich małp, które odnajdywano już na wysokości 3000 metrów. A jednak istnieją pewne świadectwa, wskazujące na to, że rzeczywiście na wysokości 6000 metrów gnieżdżą się jakieś dzikie, nieznane plemiona.

William Hugh Knight, znany podróżnik i badacz, opowiada, że wracając z Tybetu w towarzystwie jeszcze jednego Europejczyka i kilkudziesięciu Tybetańczyków, miał nader dziwne spotkanie. W okolicy pomiędzy Gnetong a Sedonchen został się nieco w tyle, aby dać chwilę odpoczynku swemu wierzchowcowi. Rozsiodłał tedy konia i czekał, patrząc na kulę zachodzącego słońca. Nagle usłyszał jakiś szelest, odwrócił się i ujrzał w oddaleniu dwudziestu kroków od siebie — dziwaczną jakąś istotę. Był to mężczyzna prawie zupełnie nagi, chociaż pora listopadowa dmuchała lodowatem tchnieniem. Skóra tego mężczyzny była żółta, włosy ogromne i twarz zarośnięta, wielkie nogi i przerażająco olbrzymie ręce, w których trzymał prymitywną maczugę. Nagus nie dostrzegł podróżnika angielskiego, zdawał się bowiem czyhać na coś, co znajdowało się u stóp wzgórza. Nagle skoczył i zbiegł z pochyłości z niezwykłą szybkością. Niektórzy badacze zwyczajów tybetańskich twierdzą, że w Tybecie



Z podróży jen. Mangina po Ameryce Południowej: W Buenos-Aires (Argentyna) ludność wita owacyjnie jen. Mangina udającego się na przyjęcie u prezydenta Irigoyena.

mordercy skazywani bywają nie na śmierć, lecz na wygnanie dożywotnie w niezamieszkałe okolice. I oto owi skazańcy wracają do warunków pierwotnego bytowania, a dla utrzymania życia uprawiają polowanie i napady na samotnych podróżnych. W każdym razie ekspedycya osiągnęłaby duży sukces, gdyby oprócz zdobycia szczytu Everestu, co pono ma być osiągnięte w lecie — zdołała sprowadzić jednego z „okrutnych ludzi śnieżnych“, którzy może w istocie swej nie są bynajmniej gorsi od wielu ludzi cywilizowanych.



Z podróży jen. Mangina po Ameryce południowej: Śniadanie pod gołem niebem na cześć jen. Mangina na polu ćwiczeń wojskowych w Géricino obok Rio de Janeiro (Brazylia).

Z życia Saint-Saensa.

W nekrologach znakomitego kompozytora francuskiego, Saint Saënsa, natrafiliśmy na szczegół z jego życia, obchodzący nas, Polaków, a odnoszący się do stosunku francuskiego mistrza do naszego artysty skrzypka, Pawła Kochańskiego.

W szeregu uroczystości jubileuszowych, które odbyły się w swoim czasie w różnych miastach Zachodu na cześć zmarłego niedawno Saint-Saënsa, urządzono też w Londynie koncert z udziałem jubilata i pierwszorzędnych artystów. Program koncertu obejmował między innemi słynne „Rondo Capriccioso“, w wykonaniu jubilata oraz francuskiego mistrza skrzypiec, Jakóba Thibaud.

Stało się wszakże, że artysta zapalony amator tennisa, rano w dzień koncertu, upadł na placu tennisowym i zwichnął rękę. Oczywiście o udziale w koncercie mowy być nie mogło. Partnerem Thibaud'a w tennisie był Kochański jego uczeń, przybyły do stolicy Anglii po raz pierwszy. Nie mogąc dać się poznać londyńskiej publiczności, Thibaud, z rzadką wśród artystów koleżeńskością, zwrócił się do Kochańskiego i oznajmił mu, że pojedzie do Saint-Saënsa, zawiadomi o wypadku i zapewni mistrza, że jeden tylko Kochański może go zastąpić. Jakoż widocznie gorąco przedstawił artyzm młodego kolegi, skoro Saint-Saëns zdecydował się grać, i to bez próby, ze skrzypkiem polskim, który był mu zupełnie nieznany.

Łatwo sobie wyobrazić tremę z jaką Kochański wszedł wraz z jubilatem na estradę. Ta trema zamieniła się w przerażenie, gdy artysta spostrzegł, że Saint-Saëns zaimprowizował na fortepianie nowy zupełnie wstęp swego „Rondo Capriccioso“. Na znak dany przez mistrza, Kochański zaczął swoją partyę, lecz zaledwie wziął kilka taktów, Saint-Saëns przerwał swoją grę i z całą swobodą, jak u siebie w salonie, rzekł głośno: „Mon cher, qua ne marchera pas ainfs“...

Dusza zamarła w Kochańskim, przekonanym, że słowa powyższe tyczą jego gry — w następnej chwili jednak ochłonął, widząc, że mistrz wstaje i otwiera klapę fortepianową, uważał bowiem, że instrument brzmi zbyt słabo. Po tem intermezzo Saint-Saëns zaimprowizował nowy wstęp „Ronda“, który następnie odegrał bez zmiany a taki był zadowolony z akompaniamentu, że ucałował Kochańskiego na estradzie.

Karyera młodego skrzypka w Londynie, po tym występie była gotowa, wiadomo jakie tryumfy stały się w stolicy Anglii udziałem Pawła Kochańskiego, który obecnie wraz z Karolem Szymanowskim zbiera wawrzyny w Ameryce.

Tragiczny zgon polskiego rzeźbiarza.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia zmarł w Warszawie na tyfus plamisty, jeden z naj-

wybitniejszych współczesnych polskich artystów rzeźbiarzy, śp. Czesław Makowski. Strasznej tej choroby, która w pełni dni męskiego żywota przecięła jego zasłużony i pracowity żywot, nabawił się dzięki swemu dobremu i szlachetnemu sercu, udzielając pod swym dachem gościny jednemu ze swych przyjaciół, który właśnie w tym czasie wrócił do kraju z głębi Rosyi po kilkoletniej tułaczce i bezwiednie sprowadził nieszczęście na dom spieszący mu z pomocą. Na tyfus, zawleczony przez repatryanta, zapadła cała rodzina, a ofiarą jego, prócz ojca, stał się także ośmnastoletni syn, Jerzy, uczeń warszawskiego gimnazyum, który w trzy dni po śmierci ojca zasnął na wieki i spoczął obok niego na Powązkach.

Sp. Czesław Makowski zmarł w 49 roku życia. Urodzony w Kieleckiem po ukończeniu wstępnych



Tragiczny zgon polskiego rzeźbiarza: Zmarły w Warszawie na tyfus plamisty, artysta rzeźbiarz ś. p. Czesław Makowski.

studyów w kraju, kształcił się w sztuce rzeźbiarskiej w Monachium i we Włoszech pod kierunkiem najsłynniejszych ówczesnych mistrzów. Wysokie uzdolnienie artystyczne, jakie okazywał od lat najmłodszych, pogłębione poważnemi i seryo traktowanemi studyami, pozwoliło mu już w krótkim czasie wybić się na jedno z naczelnych miejsc między polskimi artystami rzeźbiarzami. Jaką odznaczał się pracowitością, świadczy o tem najlepiej jego artystyczna spuścizna, obejmująca ni mniej ni więcej, tylko około tysiąca płaskorzeźb, przedstawiających najwybitniejsze osobistości z pomiędzy pracowników we wszystkich działach naszego życia społecznego. Ten dział rzeźby był jego specyalnością, doprowadził w nim do mistrzowstwa, a oddawał mu się lat trzydzieści. Jego dłuta jest między innymi także piękny pomnik śp. Adolfa Dygasińskiego na cmentarzu powązkowskim. Ponadto oddawał się śp. Makowski gorliwie pracy pedagogicznej w dziale rzeźby i na tem polu położył również wielkie zasługi.

W śp. Zmarłym traci Sztuka polska utalentowanego i gorliwego pracownika, a społeczeństwo polskie jednego z najzacniejszych obywateli.

Z podróży jen. Mangina

po Ameryce Południowej.

Donosiliśmy już w jednym z poprzednich numerów naszego pisma o podróży francuskiego jenerała Mangina do Ameryki Centralnej i Południowej, dokąd udał się jako delegat swojego rządu. Podróż, rozpoczęta w czerwcu, zakończyła się obecnie, jen. Mangin powrócił do ojczyzny, a prasa francuska, zdając sprawozdanie z jej przebiegu, nie ma wyrazu na określenie entuzyazmu, z jakim delegat francuski spotykał się niemal na każdym kroku.

Po opuszczeniu Francyi na okręcie wojennym *Jules-Michelet*, zatrzymał się jen. Mangin najpierw w Tangerze, następnie zaś na wyspach Kanaryjskich, gdzie spotkał się z jen. hiszpańskim Monteverde, który w czasie ostatniej wojny walczył na froncie francuskim. Na Martinice ludność kreolska przyjmowała go, jako ojca wojsk czarnych. Wyspę zwiedził w automobilu bezpośrednio przed katastrofą, spowodowaną wybuchem wulkanu Pelé. Po krótkim pobycie na Gwadelupie, gdzie przyjmowano go również bardzo serdecznie, przybył do Gwatemali, gdzie wylądował w Puerto Barrios, skąd koleją zębatą wyruszył do stolicy kraju, witany wszędzie bardzo uroczyście, a przedewszystkiem bardzo serdecznie. Po przyjęciu przez prezydenta Gwatemali i w ratuszu, odbył jen. Mangin rewię wojsk, których instruktorami są oficerowie francuscy.

W dalszym ciągu podróży przyszła kolej na republikę Panamską. Tutaj był jenerał przedmiotem szczególniejszych owacyi, jako przedstawiciel narodu, z którego wyszli inicyatorowie i twórcy wielkiego dzieła. Budowa przeciągała się skutkiem niepomyślnych warunków klimatycznych i terenowych, a ofiarą jej padło dwanaście tysięcy inżynierów i robotników przeważnie Francuzów. Na ich cześć ma być postawiony pomnik, pod który położono kamień węgielny w obecności jen. Mangina.



Na śladzie ludzi pierwotnych: Stoki Himalajów w okolicy szczytu Gaurizankaru, gdzie po raz pierwszy stanęła noga europejskiego badacza

Zwiedziwszy w hydroplanie osobliwości Kanału, w szczególności zaś słynne kaskady w Gatun i po wzięciu udziału w oficyalnych przyjęciach przez prezydenta Panamy i przedstawicieli rządu, *Jules Michelet* zarzucił kotwicę u brzegów peruwiańskich, to jest u właściwego celu podróży, jen. Mangin reprezentował bowiem Francyę na uroczystości setnej rocznicy ogłoszenia niepodległości Peru. Po uroczystościach w Limie, podczas których ludność ostentacyjnie manifestowała swe francuskie sympatye, zwiedził jen. Mangin Boliwię i okolice zamieszkałe przez plemiona indyjskie, resztki ludności tubylczej, ktróre nie miały jeszcze czasu paść ofiarą przeszczepionej do Ameryki „kultury europejskiej".

W pierwszych dniach września bawił w Chile, o czem w swoim czasie donosiliśmy, następnie wyruszył do Argentyny i Urugwaju stąd do Brazylii, gdzie również spotkał się z niekłamaną serdecznością i prawdziwie gorącem przyjęciem. W Rio de Janeiro na jego cześć odbyła się wielka rewia wojsk brazylijskich, których instruktorami są oficerowie francuscy. Jenerał chwalił postawę wojsk i ich sprawność, dla oficerów miał odczyt o wielkiej wojnie światowej, który zakończył oświadczeniem, że jest koniecznością dziejową, aby mocarstwa koalicyjne szły nadal ręka w rękę, co jedynie może zapewnić trwałość pokoju światowego. Przewodniczący wojskowej misyi francuskiej w Brazylii, jen. Gamelin, wydał na cześć jen. Mangina bankiet w ogrodzie pałacu Guanabara.

Na Brazylii skończyła się amerykańska podróż jen. Mangina, który do Europy powrócił drogą na Afrykę, gdzie po drodze odwiedził jeszcze miejscowości, z któremi łączą go wspomnienia lat dawniejszych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego